Pochodzi z teki redakcyjnej „Gazety Polskiej" J. I. Kraszewskiego.
Darował Krzysztof Kraszewski w r. 1912. — Oprawiono w r. 1948.

Słów parę
o kilku dobrych ludziach.

„——— liść z dalekiéj strony
„Wichrem przygnany i mrozem zwarzony."

..........Paniczu! już trzy razy zgasł samowar, woda dawno stoi w miednicy, odzienie wyczyszczone, a panicz jak spał tak spał, aż mnie strach wziął.— Od wczora coś rupi i rypi, miejsca sobie znaleźć nie mogę. Tak mówił Antek Milunas do swego panicza Donata Paprzycy, ładnego młodzieńca o ciemném oku, blond włosach i złotawym ~~wąsiku~~—

— Może co złego śniłeś?

— Boże odpuść! jakie sny i jakie myśli po głowie mnię brodzą.— Ongiś śniłem że panicza gadziny ssały, a wczora—że leżał w łóżku przykryty czarnym kilimkiem. Mówią że łóżko oznacza drogę, czy to prawda paniczu?—

— Może przyjdzie się stąd wyjechać.

— Może do domu paniczu?— Dałby to P. Bóg!— bo już wytrzymać nie można — tak chce się do swoich.

— Może wkrótce powrócisz do domu.

— Jakto,— sam jeden, bez panicza? Nie, niechcę,— ja nie porzucę panicza.

— Mój Antku,— ja sam nie wiém gdzie się obrócę:— tymczasem dawaj herbatę.

Antek nalał szklankę herbaty, Donat jednym ją haustem wychyla, parzy ukropem usta, oblewa się zimną wodą, zamiast ręcznika porywa serwetę, chodzi jak nieprzytomny.

Antek wzdycha—bo widzi od dawna że coś jest paniczowi, że to nie dobrze, że nie tak jak potrzeba.

O samém południu Donat wybiegł do miasta, przeleciał strzałą dwie długie ulice, na wieży cerkiewnej wybiła dwunasta, słońce zaszło za chmury, wiatr północny

świsnął mu koło uszu, Donat stanął przed wspaniałym domem i długo nań patrzał: lecz okna zamknięte, balkon pusty, tylko usychający powój pozółkłemi gałązki obwija marmurowe kolumny. Donat przechadza się ulicą, znowu spoziera na balkon, czeka widać kogoś: — już blizko pierwszej nie widać nikogo. Czeka jeszcze: aż w pół do drugiej wyjeżdża z bramy kareta, w niej dama młoda, powabna, w czepeczku z różą, postrzegłszy Donata wsuwa się w głąb powozu a czwórka wiatskich cisawków unosi ją jak wicher.

Donat zbladł, zadrżał — i wrócił pędem do domu. Upadł na krzesło zadyszany, duszkiem wypił butelkę Madery, potém układał papiery, siadał, zrywał się, chodził, nareście znowu usiadł, chwycił pióro i pisał po francuzku te słowa:

„Ona mnie zdradziła — nie wyszła na balkon. — Pamiętasz Stasiu com wczoraj ci mówił: — miała wszystko porzucić, iść ze mną na drugi koniec świata. — Nie wyszła, nie dała zaprzysiężonego hasła, — lepsza wizyta niż ofiara!!! Precz z mego serca! — a ja precz z życia! —

Napisz do ojca żem nagle umarł, macocha nie wiele się zasmuci i pocieszy go, — nowi bracia przebaczą mi żem dotąd żył wspólnym chlebem. — Gdy to przeczytasz już żyć nie będę. — Bądź zdrów! —

Po napisaniu tego listu Donat oddał go Antkowi i kazał odnieść do Stanisława Okrasy. Antek wziął czapkę, już był we drzwiach gdy go Donat nazad woła, całuje w głowę i każe iść conajprędzéj. — Antkowi zadrżało serce, pocałunek panicza dreszczem go przejął; [redacted] coś mu szepce by nieszedł, lecz poszedł wzdychając — bo panicz iść kazał; postał jednak na wschodach, chciał wrócić, podumał, przeżegnał się i pobiegł ulicą.

Stanisław przybiegł natychmiast, lecz zastał drzwi na klucz zamknięte: stukają oba z Antkiem, biją pięściami, wysadzają drzwi nareście. — Donat leży martwy, czoło już chłodne, ręka zlodowaciała, serce jakby od dawna nie biło a z pod niego wybiegła krew już zastygła w czerwoną plamę rozlaną na podłodze.

Stanisław krzyknął, padł na kolana, podniósł głowę Donata

i długo ją na swej piersi trzymał. Antek pobladł, załamał ręce i stał jak skamieniały. —

Żal Stanisława granic nie miał: wyrzucał sam sobie że nie dosyć czuwał nad ~~[illegible]~~ Donatem i nie podtrzymał upadającego ducha. Pogrążony w smutku, ułożył w porządek papiery zmarłego, spalił listy Darji nie chcąc kompromitować kobiety — która lekce ważąc miłość i wyższe cele życia, bawiłaby się piorunem gdyby mógł być zabawką.

W parę godzin potém, całe miasto wiedziało o nagłej śmierci ~~[illegible]~~ Donata. Darja tę wieść usłyszała w gościnie wśród miłej pogadanki o strojach i następnym balu. Zemdlała, dostała spazmów, przyjaciółki cieszyły biedaczkę, a potém rozpowiadały — pod wielkim sekretem, ile cierpiały patrząc na jej smutek i przerażenie. Wszyscy ubolewali nad zgonem młodzieńca przed którym karjera stała otworem, bo ledwo miał lat dwadzieścia pięć, a już otrzymał trzy rangi, intratną posadę i nadzieję świetnego bytu. Damy żałowały ładnego kawalera wykształconego w stolicy zazdroszcząc tajemnie Darji tak szalonego kochanka.
Mąż heroiny o niczém nie wiedział, żałował ślicznego chłopca, i nie mógł żadną miarą zrozumieć — jak można dostać spleenu do tego stopnia, by sobie w łeb strzelić będąc młodym i w ~~[illegible]~~ drodze karjery. —

Darja na pierwszym balu nie tańcowała, na drugim jednego tylko okręciła się walca, na trzecim dla przyzwoitości stanęła do polki, a na intencję ~~[illegible]~~ Donata odpościła pięć piątków, siedm sobót i do obrazu Śgo Elijasza bogate ofiarowała ramy.

Po odbyciu sądowych badań, czwartego dnia nad rankiem, Stanisław z Antkiem i dwaj ziomkowie żołnierze zanieśli tru-

mnę do bliskiego lasku i pod olbrzymim cedrem pogrzebli ~~pocho-wali~~ ~~Wiktora~~ Donata.

W kilka tygodni później, Stanisław znalazł zręczność odesłania nieutulonego w żalu Antka w rodzinną stronę. Poczciwy sługa pożegnał się z drogą sercu mogiłą, postawił krzyż na niéj własną wyrobiony ręką i ruszył w podróż z jednym urzędnikiem jadącym do Litwy.

Tak upadł Donat ~~Wiktor~~ jak wielu upada, a ci zwłaszcza którym napakują wszystkiego do głowy i serca ~~[illegible]~~, oprócz starej wiary z nową żywotną myślą dającą siły przenieść krzyż doby na drugą stronę Golgoty. Młodzieniec uśmiéchał się do życia, krzyż ubiérał różami i ku nim wyciągał ręce nie przeczuwając cierni, nie pragnąc ofiary. Pierwsza walka ~~walka~~ z pokusą zerwała róże i ubodła cierniem. Odwrócił od krzyża oczy za pierwszym osobistym bolem, obrzydził życie i własną ręką zagasił jego pochodnię.

Wieczny jemu pokój!!!

---

§ II.

„Moja przeszłość jest to wczora,
„Dotąd czuję, dotąd słyszę,
„Śpiew słowika gaju ciszę,
„Na dolinie w jeziora.

Antek na wiosnę wyjechał w swoje strony, Stanisław sprzedał pozostałość zmarłego, część pieniędzy wręczył poczciwemu słudze, resztą opłacił długi dołożywszy swego grosza niemało; kilka książek zostawił sobie na pamiątkę, inne zaś z papierami odesłał ojcu nieboszczyka Donata.

Już śnieg stopniał na polach, strumienie wyzwoliły się z lodów, Tobol płynął poważnie niosąc na swém łonie chlebodajne łodzie, a roztęskniony Antek jeszcze daleko od swoich. Urzędnik z którym wyjechał z miejsca zachorował w drodze: pilnował go Antek troskliwie nim nie nadjechała żona, a wówczas pożegnawszy obójga, poszedł pieszo w daleką drogę. Często echo puszcz cedrowych roznosiło pieśni pobożne Litwina: nieraz usiadłszy na pniu rozwróconym śpiewał donośnie:

„Szczęśliwy kogo opatrzność Boska
„Ma w swej Opiece niech się nie troska"

Głos jego dźwięczny rozlegał się po pustyni, a rade z niego musiało być niebo, bo tak nie raz zabłękitniało-że i Antek rozweselał myśląc sobie: „u nas odżyła już kalina, zakwitła czeremcha, zabielała jabłoń, Agatka wpina we włosy barwinek, idzie do kościoła a ja śpieszę do swoich. Boże! miej mnie w swej opiece.

Raz w lesie spotkała go burza: bije grom po gromie, potoki szumią, łamią się sosny, zapala się niebo i gaśnie. Antek przelany deszczem do nitki, stoi pod rozłożystą jodłą, a ilekroć piorun uderzy, mówi: A słowo stało się ciałem!

Nikogo nie widać ani ptaka, ani wędrowca, ani spłoszonego niedźwiedzia, ani rosomaka, a świat cały to w ogniu, to w ciemność zapada. Około północy wszystko ucichło, słyszećby można wietrzyk grający po wrzosach: wypogodziło się niebo, Antek przysiadł na zdruzgotaném drzewie, obwinął się sukmaną i zamrużył oczy ~~[illegible]~~ zabierając się do snu, szepcąc zwolna pacierze. — Cisza dokoła, drze-
~~[illegible]~~ ~~[illegible]~~
wa ~~[illegible]~~ ociekają zwolna, krople wolno spadają, w tém odezwał się

w ciszy — Anioł pański, ~~[illegible]~~ jak głos z nieba zesłany.

Antek zerwał się na nogi, obejrzał się do koła, coś szarzeje za mszaryną. Podskoczył zdziwiony, i oko w oko spotkał się ze staruszką w czerni ubraną, modlącą się ze łzami.

Co — gdzie — skąd — dokąd — z ust się posypały. Staruszka już zgrzybiała szła tam skąd Antek powracał. Idzie do syna o żebranym chlebie: kto łaskaw podwiezie pielgrzymkę, jeśli ma grosz zapłaci za miejsce, a miłość macierzyńska pędzi ją przez pustynię, ogrzewa skrzepłe ciało, a Bóg co góry przenosi, błogosławiąc matce, rozniecą lampę jej życia miłością ofiary.

Ze świtem Antek, zapomógłszy staruszkę, pobłogosławiony jej łzą i modlitwą, poszedł sobie — ona sobie, a przed obojgiem długa jeszcze droga.

W miesiącu Lipcu Antek stanął na rodzinnej ziemi, nie doświadczywszy innej przygody w drodze prócz tej, że go gdzieś okradli śpiącego. Został mu tylko jeden rubel ze czterech, schowany do buta przez ostrożność; trzy oddał podróżnej matce, co kiedyś żyła w dostatku, dziś w poczciwój nędzy przedziera się przez ciernie i biedy do celu miłości swojej.

Z ostatnim niedogryzkiem chleba i ostatnią trzygroszówką, Antek zaszedł wypocząć do karczmy, gdy wjechała do stodoły ogromna kareta; wysiadł z niej opasły jegomość, a że mu nudno było na popasie, wszedł w rozmowę z Antkiem siedzącym na ławie z kęsem czarnego chleba w gębie.

— Skądże waść idziesz, czy z daleka, czyś rzemieślnik

może, czy posłaniec wędrowny? zapytał pan przybyły.

— Ani jedno ani drugie wielmożny panie, wracam z daleka do chaty ojcowskiej.

— A z czyjejże wioski waszeć, może z mojego hrabstwa?

— Nie panie, ja z nad Niemna.

— W czyjej skarce?

— pp. Grzybkiewiczów.

— Skądże Bóg prowadzi?

Antek opowiedział swoje przygody, lecz zamilczał jaką śmiercią umarł jego panicz.

— Czemuż pieszo z tak daleka? Choć to prawda że wasze nogi mogą wiele wytrzymać, alež dijabelna to odległość! —

— A tak panie: my wszystko znieść możemy, a do tego jeszcze idąc do domu to i nogi nie bolą..

— Maszże waszeć pieniądze?

— Niech ich tam licho! okradli w drodze.

— Także dojdziesz do domu?

— Dopłynę jakkolwiek, pracując po drodze u kogo się zdarzy.

— Rzeski chłop z waszeci, to dobrze. Masz na wódkę, rzekł hrabia wyjmując z kieski nabitej złotem, gładką pięciozłotówkę. Masz waszeć, pomódl się za moje zdrowie.

Antek ukłonił się hrabiemu lecz nie wziął ofiarowanej za modlitwę monety.

— No i cóż — czy za mało?

— Dziękuję panu: są potrzebniejsi odemnie, ja mogę zapracować na kawał chleba.. —

— Taki wasze rostropny, widać że bywały. Niednowa-

lepiej
ści będzie w chacie, idź do mnie na służbę. Będziesz czy przy stajni, czy przy kredensie, mój kamerdyner Niemiec nauczy ciebie służby.

— Dziękuję panu za dobre słowo, ja śpieszę do domu, matka sama jedna, mogiły ojca dawno nie widziałem.

— Głupiś kochanku, głupiś; zakopać się w dymnej chacie niema rachunku.

— Wszędzie dobrze, a w domu najlepiej, wielmożny panie.

Oto chłopski upór, pomyślał hrabia siadając do karety którą pociągnęła piątka gniadoszów, a tuż i Antek nócąc wesołą zwrótkę poszedł w swoją drogę.

Jakaż to była radość gdy się nakoniec ujrzał w swojej parafji! Te same pola, łąki, lasy, góry, jeziora, jak żeby od wczoraj wszystko opuścił, chociaż lat pięć minęło od jego wyjazdu. Tam za górą leżą ojcowskie pola i sianożęcia, po olszniaku wije się strumyk; na lewo przed pięciu laty stała chatka kątnicy Szymonowej, lecz już jej nie widać. Może piorun zapalił, może innym spłonęła ogniem, a dziś pokrzywy i osty na jej miejscu rosły.

Na ten widok ścisnęło się serce Antka, usiadł smętny pod olszyną patrząc na wszystkie strony. Coś zaszeleściło: to biedna Szymonowa, ale starsza o lat wiele, zgarbiona i wychudła.

Antek podskoczył do niej, poznała go, i zaczęła płakać nie mogąc słowa wymówić.

Antek jej rozpowiadał skąd wraca, a ona mu nawzajem opowiedziała swoją historję — jak mąż odumarł, jak chałupa zgorzała, a na dobitek biedy żebrować z dziećmi musi.

— Matko, czy dawno widziałaś moich? zapytał Antek.

— Na Boże-Ciało byli w kościele. Ewka i Teklusia jak majowe trawki podrosły. Matula twoja trzyma się sia-ko-tako, a nigdy z pustą torbą od niej nie wyszedłam. I w oborze i w komorze szczury z głodu nie zdychają; Dzięki Bogu ~~[illegible]~~ jest przychówek, tylko że matula chce już wypocząć, chciałaby synowej zdać gospodarstwo.

Na te słowa Antek jak rak się zarumienił: chciał zapytać o Agatkę, ale Szymonowa jakby odgadła myśl jego i rzekła: twoje znajome dziewczęta już prawie wszystkie powychodziły za mąż; weselisko po weselisku, Kazimierek poodbijał ręce stukając po bębenku, Jurek porozrywał struny na skrzypcach, a dziewki i chłopcy młócą a młócą nogami, bo im wesoło, bo chleb w komorze leży jak góra gotowy. Agatka nie wyszła za mąż, ma przytulisko u Andrzejowej: swatał się jej Dżurys, nie chciała chłopca choć bogobojny i nie <u>miętki</u> do roboty. Sierota nigdy nie chodzi na ~~[illegible]~~ tańcuszki i wieczorynki po karczmach, bywa tylko w kościele i płacze u pana Boga. Oj ja pamiętam jak bywało: waszpan owieczki, a Agatka gęsie paśliście na jednem polu; kto wie może ona tobie sądzona?

— Daj to Boże moja dobra matko! rzekł i pocałował ją w rękę Antek, ofiarując ostatnie trzy grosze z przeproszeniem za mały datek.

— To dla kukawki może chowałeś?

— Daj Bóg drugie: kukawka już zamilkła, — bądź zdrowa matko!

— Do zobaczyska! spiesz się do ~~[illegible]~~ matuli chłopcze.

Antek miał jeszcze rzeczkę, brzeźniak i cmentarz do przebycia, a już tam chata w której się urodził, wyrósł, pracował,

i pokochał Agatkę. Rzeczka po staremu szumi, kładka na niej ta sama, w brzozniaku podrosły drzewa, gil poświstuje wesoło, konwalija bieleje, drobne listka brusznic mile zielenieją. Na cmętarzu przybyło więcej krzyżów, gęściej słały się cząbry, bujniej rosły piołuny. Rumianny poranek naróżował wierzchołki drzew i wyzłocił strumyczek sączący się z lekka do bliskiej rzeki. Niebo takie czyste, wietrzyk taki pachnący, że Antkowi z radości aż zwilgotniały oczy.

Już widna i chata. Antek nie idzie ale bieży; słup dymu z dachu wywija się siny, na klonie gniazdo bociana te same co i dawniej, przez płot ogródka wyglądają nasturcyje, ślazy wytykają swe różowe kielichy, słonecznik bogaty w ziarna gnie się ku ziemi. Na progu chaty siedzi szara kotka a po śmietniku grzebią się kury. W chacie ani żywego ducha. Może warzywo zbierają z ogrodu? Antkowi serce jak młotami bije. —

Wpada do chaty — pusiuteńko — lecz wszystko w niej po dawnemu. Wisi nad łóżkiem kłosisty wianek, tuż obok gromnica i obrazek Matki Boskiej Ostrobramskiej; pod oknem stoją krosna nawinięte płótnem z czółenkiem na rozpiętej osnowie; na piecu suszy się bielizna, w komorze stoją kubły ze zbożem, na półkach leżą sery suszone i kilka bochenków świeżego chleba; w kącie wielka zamczysta skrzynia z odzieżą a na niej parę zwojów samodziału szarego. —

Antek wybiega z chaty i wpada do ogrodu. Siostry zbierały zżółkłe liście z kapusty, a matka kopała kartofle. Depcząc warzywo Antek biegł po grzędach i upadł do nóg matce.

— O mój Boże! wołała płacząc staruszka — doczekałam cię-
bie z cudzéj i dalekiéj strony. — Ach mój Jezu! — Ty wróciłeś żywy. — I wczo-
raj i dzisiaj cierpiało serce, sama nie wiedziałam dla czego.

Antek ściska nogi matki, — płacze z nią radośnie — sio-
stry tulą się do niego, a brat się dziwi że tak wyrosły i
tak się odmienił.

Ewka miała włos płowy, oko ciemne, twarz okrągłą,
wesołą, postać średnią przysadzistą, więcéj do pracy niż do
tańca zdolną. Tekla brunetka z błękitnem okiem, twarzy
ściągłéj bladawéj, wysokiego wzrostu, szczupła, udatna, wy-
trwała w pracy i do tańca hoża.

Ileż to było pytań, ile też wylanych nad śmiercią pa-
nicza? Antek im opowiedział o nagłéj jego śmierci, o wiel-
kich jego zgryzotach — i że tam w jakiejś — kochał się bez pa-
mięci, że pan Stanisław odwodził go od pokusy ale nie mógł
odwieść, bo już tak było widać sądzono od Boga — żeby w dalekiéj
odpoczął mogile. Matka z córkami uklękła i zmówiły razem
Wieczne odpoczywienie za duszę zmarłego a tak dobrego panicza.

Po całéj wiosce gruchnęła wiadomość o powrócie Antka.
Kto z pola kto z chaty, biegł powitać wędrowca. Lejbka
arendarz najbliższéj karczmy przyleciał z flaszą wódki pod
pachą i wiankiem obwarzanków. Zręczny żydek umiał ze wszy-
stkiego korzystać, i od wasana do wasana obszedł koleją każde-
go ze świąteczną czarką. Ewka dorzuciła do garnka słoniny,
krup podsypała, wyniosła z komory spory bochen świeżego
chleba, kilka gomółek séra z kminem, zasłała biały obrus
szepcząc naucza bratu by gości traktował. Stary kundel murza już
wyłysiały, przywlókł się do chaty i poznał Antka, lizał mu rę-
ce i położył się przy nogach. Konik myszaty zdechł też prze-

sztego roku pod furgonem ammunicji a na jego miejsce przy-
chodowały siostry tęgiego gniadosza same karmiąc go chlebem.
Radowało się serce poczciwego Antka brakło mu tylko Aga-
tki, którą aż w niedzielę mógł w kościele zobaczyć a to był
jeszcze czwartek; cztery dni czekania — wie każdy kto kochał jak
długie i tęskne. —

Stary weteran Wojciech wuj Antka płakał z radości widząc
siostrzana. przecież się doczekałem mówił starzec ze łzami. Dobrze żeś
wrócił, zamkniesz mnie oczy bo już czas wypocząć, a
tobie młodemu daj Boże długiego życia i szczęścia
doczekać. — Matka niewiedziała jak nacieszyć się
synem; ciągle go karmiła, smażyła jajecznicę z szyn-
ką posypując trybulką, słała łóżko dorzucając
coraz więcej poduszek, dawała orzechy z miodem
i kartofle ze świeżem masłem. Jedynak tonął
w pierzynach, a za każdą wygódkę — jako za do-
wód miłości — całował nogi samej swej macierzy.

Nadeszła i niedziela: Antek ze świtem
poszedł do kościoła, spieszył coraz bardziej,
serce mu biło mocno, — może Agatka już
na miejscu, a tu znajomi drogę mu zacho-
dzą, z każdym się trzeba przywitać. opowie-
dzieć choć potrosze o podróży z cudzej strony
i o jej przygodach. —

Dobił się nareście Antek do kościoła, —
i — ujrzał przy kratach klęczącą Agatkę, a klę-
czała nachylona i pogrążona w modlitwie. —
Antek długo patrzał to na ołtarz ubrany
w kwiaty, to na dziewczynę. Mszy jeszcze
nie było, zakrystijan zapalał świece, orga-
nista krzątał się na chórze, świątynia napeł-
niała się pobożnym ludem. —

Agatka nie podniosła głowy — tak zanurzo-
na w modlitwie: nie przeczuwała dziwna że o kilka

kroków jest ten, któremu przed czterma laty oddała szkaplerz na pamiątkę — i swe serce na zawsze. — Nie wiedziała że on wrócił do niej z innej części świata i z tem że sercem, z wiarą i szkaplerzem. — Dziewczę miało utkwione oczy w przybrany kwieciem ołtarz na którym świece stoją rzędami; pęki róż białych wieńczą obraz Matki Boskiej co pełnem miłosierdzia okiem patrzy na lud zebrany. Dwie wyniosłe jodły stały po końcach ołtarza, a tuż na ławce leżą kosami len, zwitki płótna i inne ludowe ofiary dane z głębi pobożnego serca. —

Kapłan wyszedł ze mszą, zebrani modlą się przykładnie, świece goreją jasno, — w tém nagle — dał się słyszeć krzyk przerażliwy: ogień — ogień!! Iskry świec pryskających zapaliły len, — jodły, — i zwitki płótna. Ogień zachwycił firankę obrazu Matki Boskiej. — Przestrach ogarnął wszystkich, tylko kapłan przy ołtarzu śpiewał ewangelję bez trwogi. Ogień coraz się szerzył od dwóch jodeł, co jak dwie płomieniste fontanny siały deszczem ognistym do koła. Lud rzucił się do ognia niepomny na śmierć i ból. Fale gromadne sparły się przy drzwiach kościoła, a tak cisną się wszyscy że nikt wyjść nie może. Matki z niemowlętami wydają krzyki rozpaczy, mężowie wynoszą zemdlałe żony, kalecy ciągną się jęcząc; odważniejsi bronią ołtarza, a organista wsuwa się z wiadrem wody przez pustą zakrystję. Antek chwyta Agatkę której suknie już płomień zagarnął, dziewczyna przestraszona ogniem w bok się rzuciła i jakaż była jej radość, — jakie zdziwienie, gdy ujrzała Antka. Zrazu nie wierzy swym oczom, myśli że to widze-

nie, że Bóg jej zesłał anioła w jego postaci. Tymczasem płomień ogarnia obojga, w tem się podsuwa organista z wiadrem wody i zlewa nią opłomienionych. Agatka traci przytomność — Antek wynosi ją przez tłum zwarty u wyjścia, świeże powietrze ożywia ich obu, a spieszna pomoc straży ogniowej ratuje kościół. Kapłan najspokojniej kończył nabożeństwo, ołtarz prawie nietknięty, obraz tylko nieco się odgiął. W zamieszaniu powszechnem matki zakrywały swe dzieci własnem ciałem, synowie wynosili ojców na swoich ramionach z tą nadludzką siłą jaką Bóg daje i słabym w chwilach stanowczych. Co krok bohater, — a wszystko odbyło się w spokoju ducha z roskoszą ofiary bez rozgłosu i przechwałek. —

Antek wyratował Agatkę która mu rzekła ze łzami: gdyby cię Bóg niezesłał — zginęłabym w ogniu. Sieroty niktby nie ratował! Co to było radości — co gadania, — i bólu nieczuli i o strachu zapomnieli. Agatka dziwiła się tylko że Antek aż z tamtąd żywy powrócił i dziękowała Bogu że go szczęśliwie doprowadził do domu. Był to dzień kiermaszowy z mnóstwem zebranego ludu: panowie pojechali na obiad do księdza plebana, biedniejsza szlachta rozlokowała się pod namiotami, a każdy jadł co z domu przyniósł. Porozwiązywały się worki, wyszły na świat pirogi, rogojsze i sery różnego kalibru, kiełbasy i flasze z zafarbowaną wódką. Na rynku jakby obóz, tyle ruchu i pstrocizny. Usłużne żydówki rekomendują wyborne pierniki, żydzięta obwarzanki smorgońskie; w rozstawionych kramach rwą oko pstrokate towary, każdy prawie coś kupuje albo jakby potarguje na pociechę w braku kupidła.

Jmość do mnie — do mnie! — wołają żydówki. U mnie taniej, i w lepszym gatunku; i nie blakują perkale, i sto lat można nosić.

Odarzone szlachcianki gwarem naradzają się co kupić, wywiązują z chustek pieniądze, a wszyscy za panibracie na kiermaszu: i szlachcic czynszowy, i kmieć pańszczyźniany z kilkodymowym dziedzicem. Starzy bają o dawnych czasach, a młodzież zuchowata w czapce na bakier targuje konie, poszturchując żydków. Gospodarze kupują kosy żelazo i rzemień, gospodynie garnki, sierpy, miski i przetaki. Dzierżawcy trzymając ręce w kieszeni, zazierają do kram gdzie taniej kupić perkalików dla dzieci. Więksi dziedzice i ~~więksi~~ ważniejsi posesorowie przypatrują się wszystkiemu, zachodzą do kram większych uskarżając się na ekonomiów, żaląc się na nieurodzaje, i przed zachodem słońca wracają do domu.

W karczmie u Szmujły gwar i tańce. Młodzież raźno wyskakuje, falują długie kosy dziewczęce, latają wstęgi po szerokich plecach, a duszą tańców jest Antek i Kazimierek. Antek okręca się Agatkę i koluje po izbie przyśpiewując wesoło, jej ciemne oko błyska radością, na ustach uśmiech serdeczny, i nikt by w niej nie poznał sieroty- co jeszcze wczoraj sama jedna była na świecie, a dzisiaj cały świat do niej się uśmiechnął. Antek pokazał że dotąd nosi jej szkaplerz, na palcu Agatki świecił także cynowy jego pierścionek z czerwonym oczkiem, jakby na dowód- że ta ręka szorstka od pracy i szlachetna trudem- chciała tylko do Antka należeć. Przyjeżdżali do niej już swaty przed rokiem, namawiali znajomi, gniewał się stryj czemu za mąż iść niechce, ale nic niepomogło. Ona przeczuciem czekała Antka i doczekała, i ze swego szczęścia równie jak z uprzednich nadziei zdać sobie sprawy nie umie. – Para po parze kręci się po izbie, coraz tłumniej i gwarniej w karczmie, miód i wódka częstszą idą koleją, lecz ochrzypły już skrzypce, głuchnie bębenek, a muzykantom bieleją już oczy ze zbytniego traktamentu. Na ławach siedzą mężatki

~~tła~~ gawędzą między sobą poufnie.

— Kopę lat jak niewidziałyśmy się z waszmanią. Cóż ~~[illegible]~~ ~~[illegible]~~ czy kuma zawsze na kądziel? — pyta Andrzejowa.

— Ot! — klepię moją biedę. Pendel lnu wyprzędłam a taki twardy bo nieodleżał dobrze — że choć siadłszy ~~[illegible]~~ płacz. Pan ekonom zgodził za tę robotę sześć garncy grochu i garniec bobu, a Boże odpuść — dał same śmiecie. Dawniej bywało inaczej: — chleba w bród, a groch tak się podnosił od ziemi że i schować się w nim można. Na święty Kazimierz już bywało śpiewa skowronek, gospodarze o sochach myślą, a teraz jakby nastanie jakie: — i chleba mało — i wszędzie bieda — i cóś zawsze niewesoło na sercu.

— Oj co prawda to prawda, kochane kumo: za nieboszczyka matki, bo ojciec we wrzesień odumarł, tak rodziło żyto tak rosła trzewa, że aż szumi taka kiedy wiatr powieje. Teraz — zbierasz kłos po kłosku i to nie nazbierasz, a w trawie i tapcia nie skryjesz. Już i chudzinę moją ~~[illegible]~~ karmię trzęsianką, skubią nieboraczki słomę z ze-drabinki i stoją markotne — aż serce pęka z żalu że dam bożego teraz tak niewiele. ~~Horuj~~ — horuj — od ranka do wieczora — a wszystko jakby z pustego w dziurawe przelewasz.

— No kumo, masz swoją chatę i bidujesz, a ja kątnica, i często chłodna i często głodna, tylko się opłaczę i zmówię pacierz, a jak już oślepnę pójdę żebrować wtedy. —

— Zachodź do mnie kumo: jest cóś zawsze w garnku, podzielimy się tém, co Bóg dał.

Podobna rozmowa z biedowaniem ciągnęła się po wszystkich kątach, a w drugiej izbie gawędziła szlachta czynszowa.

— Ot mospanie Kaczyński, wypijmy miodku, kiedy bieda to do żyda. Szmujto, czy dasz na kredyt mnie szlachcicowi? z

— Nu, bierz jegomość wiele tylko chcesz. Czy ja kiedy nie daję panom szlachtom na borg? Jakby niewiem że szlacheckie słowo powinno być święte.

— Nie żyjesz, — nie zawsze święte. Oto nie dawno pan sędzia Oset djabelnie mnie podjechał.

— A, — bo to pan sędzia, — to pan, — to nie szlachcic, odpowiedział Szmujsto gładząc swe czarne jak smoła pejsy.

— Ot bratuniu, odezwał się pan Łukasz, mam kęsek własnego gruntu i graniczę z p. sędzią. Napasł się kupić moją fortunkę, a ja nie przedaję choćby mnie całego i z butami ozłocił. I moje dziady i moje pradziady, i nieboszczyk rodzic i ja porodziliśmy się tutaj; człowiek jakby wrosł sercem do ojczystej ziemi; nietylko każde drzewko ale i każdy wiatrek zdaje się znajomy, a p. sędzia chce gwałtem wleźć do mojej grzędy. — Czegoż mi tam zazdrości? Grunt przy piasku, borowizna, a tylko mospanie przy krwawej pracy mam kawałek chleba, i że ojcowizna za złoto nie oddam. —

— At, — kaprys pański, odrzekł p. Franciszek, częstując tabaczką p. Łukasza. —

— No proszę, odezwał się p. Józef, a zdaje się że p. sędzia poczciwej krwi człowiek, na cóż chce od ojcowskich prochów odrywać szlachcica? —

— Fanaberija mospanie: — z pałacu widna chudoba moja, a p. sędzina mówi że to widok psuje. Z wielkiego świata mospanie — jakaś pono jenerałówna z domu. —

— Na frasunek dobry trunek, — daj kwartę kminkówki panie arędarzu, odezwał się basem p. Szymon. —

Wyniósł kminkówkę usłużny Szmujło, a wśród gwaru i traktamentów szlacheckich, wszedł jakiś staruszek w granatowéj kapocie mocno wypłowiałéj. Włos jego siwy, twarz pogodna, oko czyste i światłe. —

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! powiedział starzec kłaniając się szlachcie. —

— Na wieki wieków! odrzekła chórem szlachta. —

— A zkąd Bóg prowadzi? zapytał p. Łukasz.

— Idę aż z Kowna — mój jegomość. —

— Zapewna interesa pędzają po świecie.

— A tak: wszak nie z rozkoszy włóczę się po świecie. Miałem proceder z bogatym, — i rozumie się — przegrałem. Chciwość mój jegomość ogarnęła ludzi, patrzą do kieszeni czy jest co wyciągnąć. — Oj to choroba i wielka. — Dawniéj było inaczéj. Tak mój ojczenku, a bieda nigdy nie przychodzi jedna, ogon za nią długi włecze się za człekiem, nie winni za winnych pokutować muszą. —

— Aha ojcze — kiepsko na świecie: dziadowie nabroili, a nam ciężka pokuta, odezwał się p. Roch kiwając smętnie głową. —

— Jegomość bezżenny? zagadnął p. Szymon.

— Niedawno pochowałem żonę; zagryzła się nieboraczka. Mieliśmy jedynaka jak oko we łbie, wypieściliśmy chłopca na naszą głowę. Wyrósł kąkol — niech mu Bóg odpuści, a jest

w tej biedzie i naszej winy. —

— Cóż, czy był hulaka czy zabijaka? zapytał p. Mateusz. —

— Gorzej-oj gorzej — mój jegomość. Hulaka ustatkować się może, zabijaka opamięta się jak nie jeden gdy ponosi. — Memu Jurkowi zachciało się być paniczem — związał się z miastkową chałastą, zapomniał o Bogu, zaparł się swoich, zapisał się do sądu, darł jak tylko nie piśmiennych prostaczków, i choć serce żal ściska. — dzięki Bogu że odumarł i przestał być zakałą dla ojca i swoich. —

Szlachta posmutniała widząc trzy starca, a p. Mateusz co już miał syna odwieść na służbę do sądu, mocno się zamyślił i kiwał nogą zakłopotany. — P. Łukasz na zamorzenie smętnych wrażeń, kazał dać miodu i zbliżywszy się do wędrownego starszka, podał mu szklanicę złotego płynu. Wypił starzec smakując miodek, ogrzał pierś stargana bolesnem wspomnieniem, a szlachta poszeptawszy w gromadzie — zaczęła wywiązywać z chustek zapasne grosiwo.

— Przyjm ojcze, — rzekł starszy z gromady, i racz odpocząć z nami pod szlachecką strzechą. —

— Bóg wam zapłać, odrzekł starzec, lecz dalej iść muszę. Ofiarowałem się pieszo

do Ostrej bramy, a stamtąd do Częstochowy.
Nie umrę i nie odpocznę póty, póki nie
przeproszę naszego Zbawiciela za grzechy
syna mego i moje, — bo za wystepki dzie-
ci rodzice powinni pokutować. Jeżeli ichmo-
ściowie macie dorosłych synów, niech lepiej
w samodziałek grzędę ojczystą orzą, niżeli w
sajecie mają do cudzego worka gładką ręką
sięgać. — Błogosławieństwo boże będzie nad
wami bracia, jeżeli czuwać będziecie, — bo
na bezczynnych i sennych pokusa napada.
A teraz bądźcie zdrowi! Może da Bóg
w lepszej zobaczyć się doli. Do zoba-
czyjątka!!

— Szczęśliwej drogi ojcze — pomódl się
i za nas do Matki Bożkiej! — Starzec od-
pozegnawszy poszedł na prawo, a szlachta
na lewo. Szmujło karbował na drzwiach
półgarnców miodu i przewybornej kmin-
kówki wypitej przez szlachtę. A że dar
mnożenia otrzymał Szmujło w spuściźnie
po swoich antenatach, przeto — liczna narosła
sumka na drzwiach od komory, a ten i wet-
nę szlachecką już miał jak w kieszeni
uczynny Szmujło. —

Gromady kmiotków zaczęły się z karcz-
my rozchodzić skoro kur zapiał trzykrotnie.
Antek wyszedł z Agatą pewny jéj serca
i ręki, a w następną niedzielę poniósł
na zapowiedź do parafijalnego proboszcza.

Z pierwszym ~~listopadowym~~ listopadowym śnie-
kiem odbyło się wesele Antka, a w parę nie-
dziel po ślubie matka nowożeńca zdała swe
gospodarstwo na skrzętną synowę, myśląc
i pragnąc w duszy hodować co najrychlej
dane od Boga wnuczęta.—

---

§ III

Żeby szatan nie wlazł w złoto,
I nie wciągnął duszy w błoto,—
Trzeba złoto z bracią dzielić,
Trzeba cnotę w życie wcielić.—

Trzy lata już upłynęły od powrotu Antka; już mały Stasiek pełza po ziemi w chacie, Anusia skacze na kolanach matki, uśmiecha do babki i plaska pulchną rączką po twarzy ojca.

Z Agatki wysmukłej stała się okrągła Agata, poważna, gospodarna i zawsze pogodna.—

Antek został Antonim, pierwszym gospodarzem w wiosce, a chociaż nie pieniężny—lecz miłosierny i skrzętny.— [illegible] żadnej

nie miał daniny z chaty Antonich i pałał nienawiścią skrytą do poczciwych gojów. Wszakże nie brakło w domu ani piwa ani wódeczki zafarbowanej borową żurawiną, bo to się w domu zrobiło dla uraczenia miłych i odświętnych gości. —

Siostry Antoniego wyszły od lat dwóch zamąż; Teofila do sąsiedniej wioski a Tekla do bliskiego zaścianku. — Miła to siedziba zaścianek na Litwie dobrze zagospodarowany. — Siedzi on zwykle na suchym pagórku, płaczące brzozy stoją i lamentują kupkami; — za chatą sączy się strumyk obrosły wysoką trawą i niezapominajką, która jak niebieskie oczęta przegląda się w wodzie. — Z pagórka widne pola, owieczki pasą się na bujnym ugorze, bydełko wierzga wesoło, a pastuszek obwieszony taśmanką w starej głębokiej czapce, przysiadłszy sobie na kamieniu, wygrywa z fujarki rozmaite piosnki i tony. Pod oknami chaty zieleni się ogródek w którym się puszy srebrnawa mięta, kędzierzawy mak pąsowy i okręca się poważnie złotowłosy słonecznik. Tuż za chatą gęstnieje ogród warzywny, a u dobrej gosposi nie widać grząd tych jak pustych pamiesów głowy. Wzrasta tam bujnie czerwony burak, grubieje pozłocista marchew i olbrzymieje apatyczna kapusta. —

Podwórko przestronne, świren obszerny, pod powietką stoją wozy kute i inne gospodarskie narzędzia. — Studnia na uboczu

ze skrzypiącym żórawiem—jak stryjaszek gdé-
racz, zaprasza spragnionych.— Wkoło niéj gęsi
i kaczki rozmawiają głośno o swoich interesach
a może o polityce;— a w sadku też za chatą,
rośnie kupkami agrest—kolący jak dewotka,
buja kilka jabłoni—jak gromadka szczérych
przyjaciół, zieleni się krzak wilczego łyka—jak
zdradliwy przyjaciel, tuli się skromnie do płotu
pokrzywa—jak jezuita sąsiad, i rozrasta się
blekot—jak przyzwoita pokusa.— Przy chacie
stoi ława oparta o ścianę, a na niéj siaduje
w wieczór letni gospodarz z rodziną bawiąc się
gawędką, lub dziękując Bogu za wszystko
serdecznym pacierzem.—

Takim był zaścianek Tekluni poślu-
bionéj poczciwemu Wincentemu Skierbiejowi.
Ewa mieszkała w wiosce niemającéj wy-
gód zaścianku, bo i świnka sąsiada wpa-
dnie do ogrodu, i drób konopie wygrzebie,
i gęsi owies poddziubią, i gosposia nieraz
w gniewie się poczubią.— Ale gromadnie,
wesoło, wspólny smutek,— wspólna ra-
dość; wszyscy jakoś związani sercem choć się
pogniewają; wytarga podrostek podlotka, posz-
kalują się kumy, poswarzą się parobczaki,—
i znowu zgoda, ramię do ramienia, serce do
serca dopada.—

Jeżeli czasem zajdzie ważna sprzeczka,
idą po radę do Antoniego—jako do bywałego

piśmiennego i sumiennego człeka. — Zdarzają się nieraz i ciężkie grzechy i wielkie urazy, bo i pod kmiecą strzechę wciska się zgorszenie: a biada temu i potrzykroć biada — kto czyni zgorszenie. — Płynie ono zwykle od sług dworskich, rozpróżnowanych i mocno zgorszonych. — Szczęśliwym a nader rzadkim trafem, Antoni nie zepsuł się sługą we dworze. — Do lat dwónastu był u rodziców, później przebył lat cztery u miejscowego wikaryjusza, który w duszy chłopięcia położył na całe jego życie fundament cnoty. Ztamtąd do dworu go wzięto, — a nakoniec — wyjechał z wojskowym paniczem na dalszą służbę. — Sam tęsknił — modlił się — żył samotny, uczył się u p. Stanisława, gawędził z nim zawsze o rodzinnej stronie, a po śmierci fatalnej panicza, wrócił do dymnej chaty, chociaż miejscowy kupiec dawał mu ogromny jurgielt i namawiał na pisarza do swego magazynu. —

Dalszy ciąg życia Antoniego był cichy jak jego dola, i szanowany przez braci kmiotków uznających instynktem wyższość jego we wszystkiem. — Mimo to, Antoni nie wzrastał w dumę, i nie przedzierzgał się w spekulanta, lichwiarza, co się nieraz wydarza z naszym włościaninem skoro w pióra obrośnie, — a wówczas obdziera swoich

braci, na wagę złota chléb totami przedają w cięż-
kich czasach głodu, bierze na zastaw ostatnią
z chaty odzieżkę i zapomina tradycji ojczystych.

W chatupie Antonich święta doroczne i oby-
czaj pradziadowy święcie wypełniany. W cza-
sie Wielkiej-Nocy gości jak nabito a święcone smacznie obfi-
te. - Starzy kmiecie gwarzą, uśmiechają się, pobie-
dują wespół, a młodzi i dziatwa taczają jaja.
Siwowłosy Bartłomiej, łątnik Antonich, ślicznie
gra na dudzie, śpiewa Alleluja chodząc od cha-
ty do chaty i nie jednego figla wypłata podrost-
kom podczas świątecznych igrzysk. Podsunie
nieraz figlarny starzec dziurawe jajko, lub zbije
mnóstwo jaj całych pofarbowanym kamykiem.
Skoro odgadną dziada, dąsają się dziewczęta,
śmieją się chłopcy i za pokutę każą dudzie sta-
remu grać godzin bez przerwy. —

Bartłomiej był przed laty zamożnym
gospodarzem, lecz gdy ekonom ni stąd ni zowąd
zaczął mu dogryzać i przesiadywać do dorod-
nej Kasi, której strzegł ojciec jak źrenicy w
oku, zaniechała się gospodarka, rozgościł się
w domostwie smutek a za nim i gorzałka. Ja-
ko pijakowi odebrano Bartłomiejowi gospo-
darkę i oddano go na parobka do bezecnego
kmiecia. — Zgryzoty zapędziły do grobu żo-
nę nieboraka, a Kasia - przemarzłszy w nieopa-
lanej łazience - umarła z ospy. —

Bartłomiej na stare lata znalazł kąt ciepły w chacie Antonich, czas zagoił blizny serca a serdeczne przytulisko osłodziło sieroctwo starca. — W dzień niańczył dziatwę, wieczorem wiązał siatkę, grał na dudzie i gwarzył z czeladzią o dwónastym roku. — Rozpowiadał szeroko o latawcach, czarownicach i opętańcach. Czeladź przerażona żegnała się wielokrotnie, a bajarz na uspokojenie wylękłej gromadki, opowiadał o gadającym wężu i o innych dziwach, które jakoby widział na własne oczy. —

Takich bajarzy ma każda wioska której monotonię przerywa niekiedy dziadek wędrowny, braciszek kwestarz i żydek kramarz. Zabiera on jaja, kury, zboże, handluje sierść i pierze na różnobarwne paciórki, durzy kobiety pstrokatym towarem i z obładowanym wozem wlecze się przez wioskę. —

Przybycie kwestarza, święte przejmuje trwogą i radością dobrodusznych kmiotków. Jakże serdecznie cisną się do nóg wymównego braciszka całując po stokroć pulchne jego ręce. —

Agato! — Agateczko! wołał Antoni widząc wóz kwestarza wtaczający się na podwórko, a gość pożądany przekracza próg chaty mówiąc donośnie: Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus. — Na wieki wieków! zagrzmią jednogłośnie

i wszystko co żyje garnie się do dobrodzieja,
pytającego troskliwie o zdrowie i urodzaje. —

Agata wnet stół nakrywa bieluchnym
obrusem, zastawia flaszę czerwonej wódeczki,
kładnie masło, ser, miód i chléb nakrajany
w skiby, a sama stoi pokorna szuge wny-
śli pietuchia na rosół dla dobrodzieja. —

— Ha, — wyborna u wasami wódeczka,
a jakie żółte masełko i serek wyborny, i
miód widać lipowy. — Dobra widać gospo-
sia i nie skąpa. — Bóg zapłać sowicie!

Agata ucałowała rękę kwestarza i więcéj
do misy dolała rosołu. —

— Tak jestem przeziębły — muszę się do-
brze ogrzać, dzionek chłodny, wiatr z półno-
cy, ha! zimno szalenie, — mówił kwestarz,
~~[illegible]~~ tłuknął znowu
wódeczki i zakąsił serem. —

— Jegomość dobrodziej dawno z klasztoru?
pytała Agata. —

— Już od miesiąca wędruję po świecie.
Daj Boże zdrowia naszym dobrodziejom! Po-
marlibyśmy jak rude myszy z głodu gdyby
łaskawcy zapomnieli o nas; — a głód nie
brat, moja kochaneczko. Ale jakże chłodno,
aż zęby dzwonią, — i znowu kwestarz ograł
się wódeczką. —

— Dawniéj dobrodzieju więcéj dawano
ofiar, odezwał się Antoni wychodząc z komory.

— To prawda; — szlachta była bogatsza a własi pobożniejsza. Teraz więcej wymysłów po dworach, a golizna wszelaka — między nami mówię. Gdzie nie zajadę do murowanych dworów — półmiski oblizane, po obiedzie w żołądku burczy; zły to znak mój kochaneczku, koniec świata nie daleki, — tak — tak — nie daleki; i powietrze się zmieniło, jesień taka przenikliwa że się ogrzać niemożna. —

Agata spokojnie podsunęła flaszkę, a bernas ciężko wzdychając wychylił czareczkę. —

— Jegomość musiał zajeżdżać do dworu, powiedział Antoni. —

— Zajeżdżałem wczoraj, dużo tam było gości, mówią że do podkomorzanki swata się jakiś zamożny konkurent. — Niema co mówić — panna grzeczna, rozumna, miłosierna, ofiarowała czerwony złoty na klasztor. Bóg jej zapłać stokrotnie! —

— Dobrodziej niech nas pyta cóż za aniołek, odezwała się Agata. —

— My, do niej jak do jasnej świecy idziemy śmiało, dodał Antoni. —

— Ongiś, przerwała Agata, Stasiek zaśtem zaniemógł, bredził we śnie i chrypiał jak kura. I co tu robić, — a męża niema w domu — powiózł owczyny do baltusznika, aż w głowę zachodzę taki żal chłopca.

Aniela została przy dziecku a ja biegę do dworu po ratunek, i na łące spotykam panienkę

niosącą wiązkę ziółek w ręku. — Co ci moja Agato — czy bieda jaka? zapytała słodko. —
Stasiek panienko chory, chrypie jak kura, i co tu począć? powiadam. — Trzeba zaraz stawić pijawki, idź do domu a ja wnet przybiegę, mówiła panienka, i puściła się jak ptak do dworu a ja poleciałam do chaty. — Mój jegomość! — ratowała nam chłopca, sama stawiła pijawki, i czy w jednéj to biedzie nam dopomaga?! —

— Czy pożar, czy zgadobicie, czy inne jakie nieszczęście, ludzie do niéj idą jakby na odpust. Upomni po bożemu grzesznika, nawróci obłędnika, pocieszy frasobliwych: i jak z pełnéj torby wysypuje się jałmużna, tak z jéj serca pociecha mój dobrodzieju — mówił Antoni. —

— Taką była jéj babka nieboszczka, odrzekł spokojny Bernaś. — Sama uczyła dziatki włościańskie czytania i katechizmu, nauczała porządku wiejskie gospodynie, nie leniła się chodzić od chaty do chaty i kumać się z włością i bronić ją od wszego złego. — Już to powiadają mówiąc — jeśli się uda Żmujdzinka, to choć do rany przyłóż, a nieboszczka była rodem pono z Kroż. Ale jakiś mróz po ciele chodzi, nie mogę cóś spełnić. —

Antoni przysunął flaszę, a kwestarz od niechcenia wypróżnił jednym haustem sporą czareczkę blaszaną. —

Antoni coś szepnął żonie na ucho, a wkrótce wjechała na stół wazeczka z krupniczkiem zaprawnym miodem i korzenną wonią. Ten nasz krupniczek litewski dziwnie smakował naszemu kwestarzowi: wódeczka utajona w miodzie wyszlachetniała jakoś widocznie, woń korzenna rozniosła się po chacie a dwa strumyki obfitego potu ściekały zwolna po okrągłej twarzy braciszka. —

— Dzięki Bogu, — dobrodziej się ogrzał, rzekła Agata całując rękę kwestarza. —

— A tak, — lepiej mnie teraz, a lękałem się frybry, niech ją kaci wezmą! —

Po zachodzie słońca wazeczka stała próżna, znużony trudem dobrodziej poszedł na spoczynek do odryny wyprostować kości na świeżem sianie. Katar miał widać z chłodnego czasu, bo chrapał mocno i przez sen mówił że mu ciągle chłodno. O świcie zbudził się wyspany, ziewnął parę razy, mówił pożarniej i znowu ziewnął tak swobodnie że aż zuchwałe wróble pouciekały z pod strzechy. —

Wóz kwestarza coraz się szczelniej napychał ofiarami, a furman Ambroży, stary bywalec ciągle biedował — że pusta jeszcze bryka, że kwestarz po próżnym wozie jak ryba po przerębie bić się nieboże będzie. —

Po śniadaniu okraszonem dzyngielówką

Kwestarz pożegnał poczciwych kmiotków, ~~[illegible]~~ rozdał na pamiątkę mnóstwo obrazków świętych, obiecał pamiętać w modlitwie o swoich chlebodawcach, i z pełnym wozem i nie pustą kaletą puścił się w dalszą podróż. — Ludek rad gościowi i polecając ~~się~~ jego modlitwom, poszedł na pole do pracy, bo już oględniejsi gospodarze zaczęli orać i wszystko chcąc ubyć roboty na wiosnę. —

Antoni przybiwszy do ściany obrazek swego patrona ofiarowany mu przez kwestarza, poszedł z sochą na pole, na którym pod spróchniałą olchą był jakoby skarb w dwónastym zakopany roku. — Plotky o tem stare kumy, plotł i Bartłomiej że jakoby widywał nieraz ogień w bliskości olchy. Antoni temu nie wierzył miał za bałamuctwo te gadaniny, twierdząc że skarb jest w pracy człowieka. — Mówiła wprawdzie stara kuma Janowa, że śniła Antoniego obrastego sierścią niedźwiedzią, a to wróżba bogactwa. Rozpowiadała sędziwa jego ciotka że śniła Antoniego Świętego łowiącego w przeczystej wodzie złotołuską rybkę, a i to nie lada pomyślna wróżba. Antoni jednak pracował w pocie czoła i gdy tylko już porę miał do zorania zagonów a słońce jeszcze nie było bardzo senne, dyrwanik koło olchy zachciał do swego polka przybrać, bo na cóż od lat tylu ma leżeć odłogiem? — Lepiej choć porę gorney zasiać na

nim siemienia. —

O parę kroków od drzewa wryły się rosagi i stanęły woły. Może kamień na przeszkodzie? Antoni zaciekawiony przeszkodą odkopuje ręka-mi ziemię i dopomaga rydlówką przyniesioną z domu do wyszukania z niej wrostych w nię kamieni. — Kopie i kopie coraz głębiej — i coś szarego postrzega nareście. Gawędy Bartłomieja przyszły mu na myśl, serce mocniej zastukało. Postał chwilę, przeżegnał się i zaczął odwalać ziemię.

Miedziany garnek z pokrywą zaczął zwolna wyłazić. Antoni spotniał, — ręce trochę zadrżały — przeżegnał się znowu i — wydobył garnek. — Ręce jak osina mu drżały — serce młotami stuknęło, — odkrył pokrywę — złoto i srebro zabłysło. ——

Czy to dar Opatrzności, — czy pokusa złego ducha — sam niewie Antoni. Wziąść z sobą lub zostawić skarb na miejscu waha się Antoni. —— Zmówił pacierz z pokorą, westchnął do Matki-Boskiej, pomodlił się do swego patrona i położył rękę na znalezionym garnku, lecz go podnieść nie śmiał. —

Już słońce zaszło, umilkło wszystko do koła, woły skubały trawkę ciągnąc pług za sobą, a Antoni stał myśląc: wziąść lub nie wziąść złoto?

Wziął garnek, okrył go siermięgą i poszedł do domu pędząc woły przed sobą. —

Już ściemniało zupełnie gdy Antoni wrócił do domu. Agata chléb wyjmowała z pieca, Bartłomiej kołysał Kasię, czeladź krzątała się w komorze, jak zwykle przed niedzielą mając o świcie wyjść do kościoła. —

Antoni dał dobry wieczór gromadzie wchodząc do chaty, a na żonę mrugnął nieznacznie aby wyszła do sieni. —

Wysunęła się niespokojna Agata, — poszli oboje do świrna, i tam się dowiedziała z czém wrócił Antoni. — Zdziwiona — otworzyła usta nie mogąc słowa znaléść, — nie wiedząc czy ma się cieszyć — czy smucić. —

— Czyjéż to złoto? zapytała nareście strwożona. —

— Czyje? ja nie wiém. — a teraz zda się nasze jeśli Bóg pozwoli. —

— Może to grzech brać cudzą własność: trzeba moje serce poradzić się z proboszczem. Pewno to jaki Francuz pod olchą zakopał, a sam nieborak zginął na wojnie. —

— I ja myślałem moja duszo, poradzić się z proboszczem, a jak on powié — tak będzie. Jeżeli przy nas skarb ten zostanie, ogrodzę kościół murowanym parkanem, dokończę szpital dla ubogich i postawię nową dzwonnicę. —

— I za duszę nieboszczyka Francuza egzekwije zakupiem; może dusza jego potrzebuje

zakątku, może dla ulgi jego ~~[illegible]~~ skarb ten zna-lazłeś. —

— Tylko żono ani słowa nie piśnij ni-komu, a kociołek wstaw do skrzyni i do-brze zamknij na klucz. — Jutro pójdę do proboszcza a co on powie — co każe, spełnię najświęciej. —

Agata zamknęła skrzynię i wróciła do chaty jakby nie swoja. — Poszli spać wszyscy, tylko Antoni z żoną usnąć nie mo-gą. — Agata układa różne projekta: jeśli kociołek przy nich zostanie weźmie na opie-kę sierotkę po Szymonowej, postawi krzyż malowany na rozstajnej drodze, i kupi drzewa na chatkę biednemu Józefowi ka-lece. —

Antoni również wymyśli daje zapomogi siero-tom, posyła p. Stanisławowi pracującemu ciężko na kawałek chleba, — sam ma się wykupić na wolność i nabyć chatę w której się uro-dził. —

Usnęli nareszcie z temi myślami i spa-li spokojnie aż do poranka, potem po-siliwszy się śniadaniem wyszli do kościoła ze swą czeladką zostawując Bartłomieja dla dozoru dziatwy. —

Gromadka w świątecznej odzieży szła przez łąki i pola. — Stała się ruń wszędzie gęsta i zielona; rosło serce rolników widząc

widząc tylko nadzieję na następne lato. Perlista się ro-
sa na młodych ścierniskach: miękko i cieniście pełzać
jaszczurkom, choć już nie jeden opadł z drzewa
listek; a skrzętne mrówki te lata kwestarki, za-
siadały spokojnie o swój byt zimowy bez krzyw-
dy cudzej, do której nieraz skłania się człowiek
troszczący się nazbyt o chlebną przyszłość. —

— Oto będzie zboża miarkując z ziemi, odezwał
się staruszek Józef. —

— Przeszłego roku wszystko przepadło, robak
ziemi podtoczył choć tu płacz patrzając. I kurzy-
li i święcili odsiewając żyto, nic nie pomogło. Aż do
św. Marcina kwaśniała ziemia, a robakom radość
hulali po niwach, jak egzekutnicy po chacie. —

Oj ciężko było, mówił Dominik wzdychając. —

— A cztery lata temu, czy pamiętacie, jak Bóg
głodem skarał nas grzesznych ludzi? Żeby nie
panowie — pomarlibyśmy z głodu. Ten banita
Pasper rogiem od tabaki przedawał żyto i
chwalił się jeszcze że ma pełny zasiek. Już
to ~~licha~~ warte jeśli z chłopa szlachcic dojdzie
do grosza, rzewnemu zedrze skórę, a puści tu-
man w oczy i na mszę zaniesie jeszcze, i
bije się w piersi w kościele, dodał Józef. —

— W ten czas pamiętacie i cyganie, choć cza-
rownicy, puchli bez chleba, odezwał się Maciej.

— Niechaj ich licho tych czarowników, powie-
działa Agata. —

— Ej żono — nie mów tego, — grzech sądzić nie
wiedząc, odrzekł Antoni. —

— Wszyscy tak sądzą, a Błażejowa mówiła że ta stara cyganka co przychodzi do wioski urzekła jéj krowę, a jak popatrzała na gęsie — pozdychały zaraz jak otrute muchy. — Dziecko Maciejowéj także oczarowała: pieniło się jak drożdże, kurczyło się i parskało jak kot od tabaki nim ksiądz Bonifacy nie odczarował czysto. —

— Nie powtarzaj tego Agato, niech ją Bóg osądzi, a najlepiéj nie przystawać z bezbożnikami. Dla miłości Boga daj chleba każdemu, niech od naszych progów nikt nie odejdzie głodny. —

— Czy jegomość słyszałeś o tym szlachcicu co pożar oczami sprowadza, a gdzie on idzie tuż zanim i ogień. Niechaj on przepadnie — taki człek niegodny, — rzekła Tereska splunąwszy.

— Nie przeklinaj Tereska, już on i bez tego biedny że ma takie oczy. — Słyszałem i ja o nim, ale na własne nie widziałem oczy. —

— Nasz Bartłomiéj wie kiedy ciągnie latawiec i komu nosi zboże a komu pieniądze, — odezwał się Józef. —

— To i ja wiem, odrzekł Maciéj — temu to szlachcicowi co za lasem mieszka, co nigdy do spowiedzi nie chodzi bo z dijabłem ma konszachty. —

— Panie Boże odpuść! odrzekł żegnając się Józef, — ale to święta prawda że jest latawiec. Tydzień temu widziałem jak leciał nad naszą chatą światły jak ogień i zginął za lasem.

— Masiał niesé szlachcicowi zboże lub pieniądze? zagadła Tereska. —

— A czy wiesz że latawców są trzy gatunki? — po-
wiedział ~~Maciej~~ Maciej. Jeden lęgnie się w Rydze w blaszanej
puszcze; drugi znajduje się na północnej drodze; — trzeci
wylęga się u starej żydówki pod pachą z jajka od
czarnego pietucha. Każdy z nich karmi się jajecznicą:
ryzkiemu trzeba ją smażyć w maśle, — półno-
cnemu w dziegciu, — a żydowskiemu w gęsim smal-
cu z cebulą. — Niosąc zboże latawiec bywa cie-
mny — a niosąc pieniądze światły jak ogień.

— Mówią że oczu dobrego człowieka boi się
okropnie, z szelmami żyje brat za brat, a jak
się zagniewa — żywcem ciągnie do piekła, mówiła
Tereska. —

— Gadacie jak opętani, odezwał się Anto-
ni, a nikt nie przysięże że widział na żywe oczy
latawca. — Ja nasłuchałem się różnych dziwów
będąc w cudzej stronie i doprawdy że nie pasłe an-
drony nalazły do uszu. —

— Tobyś-to jegomość nam co rozpowiedział,
i droga byłaby krótsza i co nowego człekby się dowie-
dział, zagadnął Dominik. —

— Po śniadaniu w gębie nie sucho, mogę
wam różne tamtejsze opowiedzieć dziwowy.
Raz jadąc z moim nieboszczykiem paniczem, prze-
marzliśmy jak cielęta na mrozie; ja dzwoniłem
zębami a panicz wieczny pokój trząsł się jak osi-
na z chłodu. — Postylijon skostniał na koniu i
ochrypł ~~[illegible]~~ popędzając trójkę. — Nigdzie
ani ptaka — ni zwierza nie widać; a co słońca —

to jakby nigdy nie było i już nigdy nie będzie. —

— Otóż ladaco strona, odezwała się Agata. —

— Ach! a trzeba i tam żyć naszym, cóż tylko robić nie robić o mar głowy. — Otóż ruszamy dalej, wloką się konie po śniegu wiatr kręci kibitkę, szumią modrzewiowe puszcze, łomocą się wichry po polu, — a ja — to otworzę to zamknę oczy, — myśląc o swojej chacie co tam gdzieś stoi za rzekami. —

— Oj czy to żart czy co, tak daleko od świata odjechać, — zagadnął kiwając głową Józef. —

— Ani wiatru swojego ani dzwonów nie słychać, — a wszystko Bogu ofiarować trzeba.

Otóż — brniemy i brniemy po zamiotach, mróz wyjada nam oczy, panicz okrył głowę futrzanym kołnierzem, aż dzięki Bogu trochę wiać przestało, świat już widniejszy, na niebie światlej i co dalej weselej. —

— Jaka tam wesołość — gdzie niedźwiedzie jak po swoim lesie chodzą? powiedziała Teresa.

— A ludzi jak na lekarstwo, nie dowołasz się człeka wlazłszy do śniegu. I w tenczas brnęliśmy powoli jakby z nieboszczykiem; panicz zadrzemał trochę a ja wytrzeszczywszy oczy patrzyłem na wszystkie strony, — a najwięcej na górę na której leżał ogromny kamień a na nim siedział jakby człek jaki trzymając butelkę w ręku. — Pytam pocztylijona: — Kto tam siedzi na kamieniu w taki mróz i wicher? — Pocztylijon odpowiada:

— Chyba waćpan nigdy nie byłeś na Uralu że nie widziałeś tego kamienia. Wszak to skamieniały człowiek z butelką w ręku siedzi za pokutę. —

— Co ty kłamiesz, — mówię do pocztyljona. —

— Oj nie kłamię, odpowiada, — a pod kamieniem leży wielki skarb. —

— Skarb! — odezwał się Józef, czemuż go nikt nie wykopał dotąd? —

— Otóż to i sęk że go trudno wykopać. Ten człowiek skamieniały to chłop zaklęty za krzywdę biednej niewinnej sieroty. Ten tylko skarb zabierze kto znajdzie dwanaście dziewcząt imieniem Marja, i dwunastu chłopców imieniem Jana ochrzczonych, niewinnych jako dzieci, i kto opasze niemi jakby wianuszkiem kamień naokoło. Wówczas — kamień się odwali, chłop zaklęty żyw zostanie i odda niezliczone skarby temu co te pary wynajdzie a jeszcze i z pełnej butelki przepije do niego. —

— Dotąd — musiał kto i skarb wziąść, i napić się smacznej wódeczki zagadnął Maciej.

— Nie tak to widać łatwo, bo kamień od wieków stoi i stoi, a chłop jak siedział tak i siedzi trzymając butelkę w ręku.

— Może po waćpana wyjeździe trynknął kto z butelki? zagadnął Dominik amator gorzałeczki.

— Może i sędzica Plewski pan Bóg tak ukarze za krzywdę Anielki, powiedziała Tereska.

— Nie sądźcie a nie będziecie sądzeni, mówi zawsze nasz proboszcz, rzekł znowu Antoni. Ot opowiem wam jeszcze jedną bajkę o tamtym kraju. — Jest tam pieczara zaklęta przez jednego człowieka nazwiskiem Jesmak, co zawojowawszy tamte strony zostawił w téj pieczarze dwanaście worków napchanych złotem. — Ale tylko temu dadzą się wziąć te worki kto wypije czarę stojącą na stole. Domyślcie się co tam jest w téj czarze?

— Może krew? — odezwała się Agata.

— Może miód? dodała Sroczka. —

— At pewno jaki djabelski napój, zagadnął i Maciéj. —

— Nie zgadł z was żaden. Jesmak naplwał do czary, postawił ją na stole, zaklął żeby nie wyschła, — i ten weźmie worki ze złotem kto do dna wypije wszystko. —

— A żeby on nie doczekał! odezwali się wszyscy plując na wszystkie strony.

— Żeby katolik miał pić ~~jego~~ takie paskudztwo niedoczekanie jego, powiedziała Agata. —

— Chybaby nasz Cyprek odważył się na to, rzekł Maciéj. —

— Oj to szacher macher, nauczył się wszystkiego złego u Kluczwojta. Onby pewno wylizał czarę a złoto dawał na zastawy, powiedział Józef. —

— No, na dzisiaj dosyć wam naprawiłem. — Śpieszajmy, już słońce wysoko. —

Dzwoni kościelny zapraszał pobożnych, spieszą wszyscy, roją się ludzie wokoło cmętarza; męszczyźni wciągają buty na nogi przyniesione przez oszczędność w ręku, a kobiety obuwają się w trzewiki, a dziewki stroją swe warkocze wstęgi i kwiaty, bo choć już jesień za progiem kwitną jeszcze polne kampanule, białe astorki, i zieleni się wrzosek. —

Granatowe sukmany śmieją zdaleka, a i szara siermiężka niegorzej wygląda, jaskrawe wstęgi płonią się prześlicznie a białe namitki umilają oko. — Zakrystijan krząta się pilnie koło bożego domu witając znajomych. Nie lada to persona ten pan zakrystijan: wie kiedy doroczne festy przypadają w parafii, wie co pisze kalendarz o zimie i lecie, wie kiedy ksiądz biskup przyjedzie bierzmować i wiele innych ~~[illegible]~~ nowin ma na wymównych swych ustach. —

Antoni wysłuchawszy pobożnie wotywy poszedł do probóstwa, a właśnie proboszcz po mszy posilał się kawą. — Pocałowawszy w kolano sędziwego kapłana, obejrzawszy się dokoła — odchrząknął potrzykroć — i tak zaczął mówić: Mam ja wam sekret odkryć dobrodziejowi. —

— Cóż takiego mój kochany, — ~~[illegible]~~ może co dobrego?

— Jegomość osądzi — może ~~to~~ i dobrego —

— Będziemy cieszyć się wspólnie. —

— Ot dobrodzieju — takiż ta sekret, że wczoraj orząc dopóźna — skarb wyorałem. —

— Dał-ci Bóg — dzięki Jemu! Jakże to było?

— Słonko już zachodziło, a jeszcze grzebałem się po niwie. — Pod wielką olchą spory kawał ziemi leżał odłogiem: puściłem i tam sochę, na cóż ma grunt próżnować, i zupełnie wyszło mnie z pamięci że tam jak ludzie plotli, skarb jakoby leżał. — Dawaj tedy orać mój dobrodzieju, płatniej jak szewc z pracy, — aż w jednem miejscu, stanęła socha i woły. Może to kamień pomyślałem sobie — i dawaj łopatą odwalać ziemię. Kopię i kopię, aż mój jegomość, łopata, brzynk, jakby zadzwoniła. Co tam u kaduka myślę sobie, i kopię dalej, — aż znowu brzynk mój dobrodzieju. —

— Czy nie pociemniało waszeci w oczach? zapytał z uśmiechem proboszcz. —

— Zastukało serce i gra coś jak ulewo-je, ale kopię dalej, aż mój Łaskawco, — jak grzyb wyłazi kociołek, — mrówki po ciele przeszły. —

— I było czemu — taka niespodzianka. —

— Wyciągam za uszy kociołek — otwieram pokrywkę, — aż mój dobrodzieju — złota i srebra jak błota, aż osłupiałem ze strachu.

— Jest to zapewna francuzki pieniądz o który gdy nikt się dotąd nie upomniał, lepiej

go użyć po chrześcijańsku niżeli chować w ukryciu. —

— Otóż mój jegomość i ja tak pomyślałem, ale bez rady i pozwolenia mego Łaskawcy nie dotknę skarbu. — Jeśli bez grzechu mogę go przyswoić, chciałbym postawić nową dzwonnicę, ogrodzić murem kościół, dokończyć szpital, i raz w miesiącu zafundować żałobne nabożeństwo za duszę właściciela kociołka. — Chciałbym też posłać nieco grosza i p. Stanisławowej, co tam w cudzej stronie ciężko na chleb pracuje, i oderwawszy od gęby biednych zapomoga. —

— Czy liczyłeś wiele tam grosza Bóg dał?

— Uchowaj Boże, ani się dotknąłem bez pozwolenia jegomościnego, — na coby to pokusa? — Widać że sporo grosiwa, kociołek ciężki i głęboki. — Chciałbym wykupić się na wolność, — bo choć to nasza pani jak matka nasza, — ale mój dobrodzieju — zawsze ta wolność jakby dzień słoneczny. —

— Będziesz mógł może i chatę z gruntem od ※ dziedziczki nabyć. Za wolność nic nie zapłacisz, — bo nie taka to pani żeby za szczęście bliźnich płacić sobie kazała. — Bóg zapłać za poczciwe zamiary względem kościoła: sami widzicie że czynię co mogę, lecz bez pomocy parafijan nie mogę się obejść. Kolator nie dopomaga, objąłem ruiny, dźwigam ją jak

mógł-bym jeszcze daleko do końca. — Ale ko-
chaneczku nie bekśnij ani słowa nikomu
o skarbie: przyczepią się zaraz ludzie rozmai-
ci. — Żonie swojéj powiedz niech nie nie mó-
wi nikomu, bo to kobiety zwykle, gadu
gadu — i wyszlapią wszystko. —

—— Moja baba nie taka: jak kamień
w studni tak sekret w jéj gębie. — Już to do-
brodzieju, za moją babę wszystkobym oddał.

—— To dobrze że zgodnie żyjecie, za to i Pan
Bóg o was pamięta i daje wam środki być
miłosiernémi. ——

—— Jutro wieczorkiem przyniosę koziołek
a jegomość przeliczy co tam Bóg nam dał. —
Teraz dobrodziej pozwoli mnie napisać do
p. Stanisława, bo jutro czasu nie będzie,
mam sporo jeszcze na polu roboty. —

—— Masz ci papier, pióro, — siadaj i pisz
co ci serce podyktuje. ——

Antoni rozsiadł się w krzesło, rozparł
na stole, i nie myśląc długo, nie gryząc
pióra, nie trząc upomadowanéj czupryny, na-
pisał te słowa:

„Najmilszy mój Paniczu Panie Stanisławie!
Jeżeli Tadka raczy przyjąć grosiwo posła-
ne od swego sługi Antoniego. Doprawdy
jak Bóg na niebie, że ani oszukałem ni-
kogo — ani znalazłem zgubione na drodze.
Nasz ksiądz proboszcz wié o wszystkiém,
i nie swarzył mnie za to, bo to nie grzech

widać, bo i w duszy wesoło - jak żeby kto miodem całą wysmarował. — Dobrze mnie na świecie z łaski Pana Boga: żonę mam poczciwą i dziatki zdrowe. — Robak nie gryzie serca, wszystkiego jest w choćie, tylko panienka chciał bym oglądać i piękny krzyż na grobie nieboszczyka własną postawić ręką. —

Oto i wszystko co umiém powiedzieć kochanemu paniczowi, a co w sercu to Bóg widzi — i panicz odgadnie." —

Najpokorniejszy sługa —

Antoni Milunas. —

Spotniał troche pisząc Antoni i pare żydów postawił, ale że ich zewsząd trudno wyskrobać, tak i na téj ćwiartce zostali obaj. — Ksiądz proboszcz list przeczytał i do stolika włożył, wtém dał się słyszeć turkot na dziedzińcu. —

— Panienka przyjechała — panienka, — wpadł Jurek do pokoju klaszcząc radośnie w dłonie, oznajmując gościa. —

— Skądże tak późno Bóg prowadzi? zapytał mile proboszcz wchodzących gości. —

— Nie mogłyśmy minąć probóstwa, odrzekła Wanda Ostojanka całując w rękę kapłana.

— Bardzo mi rad — siadajcie, — cóż panie słychać w domu? —

— Wszystko dobrze: mama zdrowa, wuja szek wyjechał do Grodna, a ja z panną sędziną

byłam u pp. Chorążych. Córka ich Jadwisia taka serdeczna, taka miła, że się z nią trudno rozstać. —

— Któż dla panny Wandy nie miły — któż jéj nie kocha — powiedziała sędzina. —

— O mój Boże! Za cóż mnie mają kochać? Jeszcze nie zasłużyłam na to. —

— Za co? Bóg i ludzie wiedzą, odrzekł proboszcz.

— Oj prawda dobrodziej mówi, odezwał się z kąta Antoni podchodząc do Wandy i całując jéj ręce. —

— Antoni tutaj, — jak się masz — co słychać w domu? —

— Dzięki Bogu! wszyscy zdrowi tylko tęsknią do panienki. —

— Nie byłam w domu czas długi. Pokłoń się wszystkim odemnie i powiedz dziatkom że ładne dla nich z Wilna przywiozłam książeczki. Po świętach mój Antoni, przysyłajcie do szkółki dziatwę, już i Jurewicz bakałarz pozdrowiał i ja wróciłam z drogi. —

— Panience Bóg zapłać; — a teraz do zobaczyska! —

— Bądź zdrów Antoni — bądź zdrów!

Poszedł do domu sobie wesoły w duszy chlikunar, a Wanda długo jeszcze rozmawiała z proboszczem. —

— Młodniejesz słuchając ciebie moje drogie dziecko, chociaż siódmy krzyżyk chyli mnie do dołu.

Już i zdrowie chybiać zaczyna; na odmianę powietrza odzywają się rany, bóli [illegible], — i świdruje kości Smoleńsk. Ty moja córko w samym jesteś rozkwicie; tyle dni jeszcze przykrych przed tobą. —

— O mój Ojcze! ja tyle mam pragnień, a nic dotąd jeszcze nie uczyniłam dobrego, i nie wiem jak to życie prowadzić by codzień było pożyteczniejsze dla bliźnich moich. — Pamiętam rozmowę twoją mój ojcze kiedyś był u nas zeszłego tygodnia. Opowieść twoja to istna illijada czasów których byłeś świadkiem i — uczestnikiem. — Po twoim wyjeździe kochany ojcze, długo jeszcze chodziłam po lipowej alei, a cienie błogosławionych mężów błądziły ze mną jak drogie wspomnienia. —

Wszak osobiście jestem szczęśliwą: kocham rodziców moich matkę żyjącą — a ojca jak w grobie. Szanuję ich obojga rzeczywiste zasługi. Kocham świat bo piękny, a gdybym uwierzyła że są źli ludzie na bożym świecie, — żyć bym odtąd nie chciała. —

— Niech cię Bóg broni moje dziecko od chłodu i niewiary, — trąd to zła duszy ai śmierć dla serca.

Każdemu dał Bóg wolę jako warunek zbawienia: fałszywy kierunek woli zło zawsze rodzi. — Kochajmy się i wierzmy, — módlmy się i pracujmy wespół, — a miłość i wiara zbawią nas od złego. — Odkupić stare grzechy

potrzeba nową zasługę: wy młodzi kochajcie się poczciwiej, niech serca wasze na jedną nastroją się nutę, a Ten co góry i morza przenosi, — przemieni ciemność w światło i kamień odwali. — Ale — ale — miałem zapytać czy prawda że p. Honoryjusz stara się o twoją rękę?

— Przed tobą ojcze niemam tajemnicy. Ludzie o tém mówią i on o tém zamyślał, — ale moje serce dalekie od tego. —

— Chwalą go że gościnny, utalentowany dostatni, a nawet i uczynny w sąsiedztwie. Zastanów się moja córko: może jakie fałszywe uprzedzenie, może jaka potwarz oddala cię od niego? —

— Przed miesiącem jeszcze serce me było za niem, lecz odtąd, — znaczna zaszła zmiana. — Jadąc do Kwiatkowa z naszą Olszewską, spadło nam z faetonu koło, a było to niedaleko wioski p. Honoryjusza. Szukając pomocy poszłyśmy do wsi: mój Ojcze co tam za bieda! Lud nędzny, chaty się walą, dzieci wybladłe, — serce mi się ścisnęło od ciężkiego bólu! —

Pytam starego poważnego kmiecia cze-mu tak smutno i blado wszyscy wyglądacie? Kmieć się obejrzał na wszystkie strony i cicho wyrzekł: Chleba mało, — a pracy bez liku. — Codzień a codzień na pańszczyźnie we dworze. —

Odtąd me serce zlodowaciało: ludzie co go tak chwalą nie baczą widać na wadę — przy której bledną wszystkie przymioty. —

Sędziwy proboszcz uściśnieniem ręki potwierdził myśl Wandy, pragnąc wpłynąć co najrychlej i najskuteczniej na sprostowanie serca p. Honoryjusza. —

Drzemiąca sędzina po nalaniu herbaty, nagle przypomniała że coraz więcej ciemniej, a droga przez las wcale nieciekawa. —

Po wyjeździe miłych gości proboszcz odmawiał długie pacierze, gasnące jego oko łzą się zamgliło, wyciągnął ręce do Matki Boskiej i długo prosił o coś gorąco, i długo myślał twarz w dłonie ukrywszy. — Później spokojny — poszedł na spoczynek, by nazajutrz znowu stanąć do świętej pracy. —

O zmierzchu przyszedł Antoni z kociołkiem pod pachą i wsunął się do pokoju. — Proboszcz grał na skrzypcach: po pracy całodziennej lubił sobie starzec wygrywać dawne pieśni duszy i marsze. — Rano i poobiedzie uczył dziatki wiejskie; latem pracował w ogródku, — lubił czytać i rozmyślać — a czynił wszystko w celu szlachetnym i myśli rodzinnej. —

Mało kto wiedział dla czego ksiądz Kazimierz włożył sutannę, lecz wiedziano ~~[illegible]~~ że był kiedyś żołnierzem i że mu często blizny bolały na zmianę powietrza. —

Skoro proboszcz ujrzał Antoniego w drzwi, położył do futerału skrzypce i wzięli się obaj do obejrzenia kociołka. — Wydobywali z niego obrączkowe talary i hollenderskie dukaty, a ogół summy wynosił 50,000 złtpol.

— Piękna sumka, niema co mówić; ani myślał Antoni zostać tak bogatym. —

— Doprawdy mój jegomość, niewiem jak się z tém obrócić, odrzekł Antoni zakłopotany. —

— Poradź się serca mój kochaneczku. —

— Ot tak dobrodzieju: 4,000 ofiaruję na szpital; dwa na dzwonnicę i obmurowanie kościoła; tysiąc na ~~[illegible]~~ nabożeństwo za duszę właściciela skarbu; trzy tysiące p. Stanisławowi a pięć tysięcy na ręce jegomości do rozdania prawdziwym sierotom. Resztą niech dobrodziej rozporządzi. —

— Dosyć mój poczciwy Antoni, — dosyć! Zostaw dla dziatek swoich i dopomóż ~~[illegible]~~ utrzymać bakałarza dla dziatek z waszej wioski. Wiem żeś nie dla tego rad z grosza że będziesz jadł smaczniej i odziewał się wygodniej, lecz że wspomożesz biednych i oświecisz twe dziatki. — Grosz, to poczciwy środek jeśli go w imię boże człowiek umie użyć. —

— Aha mój jegomość, sierotki Szymonowéj wezmę na opiekę: moja baba o tém tylko i myśli i raduje się wcześnie z tém dopomoże. —

Kapłan ucałował serdecznie poczciwego chłopka, zalecił dyskrecyję, i obiecał pomówić z dziedziczką o wykupnie chaty z gruntem. —

— Cóż powiedzą ludzie widząc mnie bogatym? zapytał Antoni. —

— Uczyni się to ostrożnie, spuść się na mnie, słuchaj serca swego, a Opatrzność wszystkiemu zaradzi i usta złym ludziom zamknie. —

— Niech się dobrodziej mną opiekuje, a wszystko jak po maśle pójdzie. —

— Dobréj nocy mój Antoni. —

— Całuję nogi mego dobrodzieja, — szczęśliwéj nocy pod opieką bożą. —

Antoni posunął się do domu z własnością swoją, a w parę ~~miesięcy~~ lat później wszystko się załatwiło pomyślnie, chociaż ciekawi i zawistni ludzie różnie o tém mówili. Zły człowiek z téj samej wioski szepnął Kluczwójtowi że Antoni nagle się wzbogacił, że trzebaby to wyśledzić koniecznie. —

Kluczwójt razy kilka wsunął się do Antoniego i różne czynił zaczepki, i namawiał Szmujła, żeby mu kontrabandę do świrna podrzucił: ale Bóg strzegł Antoniego od wszelkiéj napaści, a dziedziczka uwiadomiona o wszystkiem czuwała nad nim. Tymczasem dzwonnica stanęła nowa, parkan murowany wznosił się koło kościoła, szpital już się okrywał gontem, a za duszę Francuza serdeczne się odbywało co miesiąc nabożeństwo. —

Chata Antoniego poszerzyła się znacznie; przybyły do niéj sieroty i jedna biedna wdowa. — Nie zdurniał Antoni zostawszy dziedzicem dwuwłókowym i w niczém się nie odmieniło domóstwo jego. W tém tylko zaszła odmiana że mając więcéj środków — więcéj czynił dobrego. —

Źli ludzie przestali czynić czarne domysły, a dobrzy ~~[illegible]~~ cieszyli się z jego pomyślności. — Spróchniałą olchę wicher wywrócił, a na jéj miejscu stanął Sty Jan Chrzciciel. —

Agata nie podniosła nosa, ani się przebrała niby na szlachciankę — w czépek i szlafroczek. — Sierotki Szymonowéj kochała zarówno ze swémi dziećmi, i daleko częściéj swoje całowała — chociaż wspólny dzieciom był figiel i psota. —

Zakrystyjan nigdy nie zadzwonił z nowéj dzwonnicy nie powiedziawszy:

Bóg zapłać poczciwemu Antoniemu!

§ IV

I piołuny — i róże
Pachną w ojczystej roli:
A gdy nadlecą burze
Przyśni się twarz niedoli;
Gdy wiatr obcy zawieje
Troski za nim pośpieszą,
Domowe tylko dzieje
Serce stęsknione cieszą. —

Stanisław otrzymawszy list Antoniego z pieniędzmi zapłakał z radości, tak go rozczuliła serdeczna ofiara. W czas mu też przyszła pomoc pieniężna, bo mógł już wracać w rodzinne strony. Tęsknota jego była bez granic; były takie chwile w których rezygnacyja na nic się nie zdała: — bo czémże odrętwić szlachetne serce rwące się do swoich? — Nieraz zagłębionemu w umysł. pracy staje na żywo oczy rodzinna ~~[illegible]~~ brzózka, szumi domowa rzeczka, lub zapachnie kwiatek litewski: wówczas — wszystko musi ustąpić a serce jakby z pod kamienia samo się uwalnia. —

W jednym z takich momentów przyszedł list Antoniego i wiele bolesnych godzin nagrodził chwilą pociechy.

Wkrótce Stanisław puścił się w podróż, wracając kędy kędy jechał przed wielu laty. — Lecz dniem i nocą dobiegł do Orszy gdzie już musiał nieco wypocząć. Tam obszedł dziejowe starym lasem porosłe mogiły, i śnił na jawie Konstantego z Ostroga — Pomarzył, — westchnął i dalej ku domowi pędził. — Wjechawszy do Mińska był prawie jak w domu: znalazł tam dużo dawnych znajomych. Serce ich w niczém się nie zmieniło, tylko twarzą starsi o lat kilkanaście. Dziecię wyrosło w młodzieńca, młodzian w dojrzałego męża, a dojrzały — podtatusiał sobie poczciwie. — Po latach tylu odmieniło się miasto, jedne domy upadły drugie się wzniosły, zubożały kontrakta, tylko serdeczność została ta sama i Stanisław doświadczył onej pod każdym względem. —

— Staś drogi, Staś kochany, wołano zewsząd. Mój Boże, wszakto powrócił! — i nie jednemu łzy w oczach stanęły. —

— Tyle przebolał, tyle lat tęsknił, powiedział p. Józef, a taka w nim dusza — jakby wczoraj wyjechał od nas. Mam pięciu synów, chciałbym gdyby choć jeden był mu podobny —

— Nie grzesz panie Józefie, masz tęgich chłopców, odrzekł p. Jan. —

— Łaskawszy panie Janie na moich chłopców. Smutno wyprawiłem w daleką drogę, — pisali już z miejsca. — Mój Boże ileż to żona moja gorzkich łez wylała żegnając się z niemi! Ja jako mężczyzna nie beczałem głośno, ale w mojej duszy było może boleści. — Starałem się dzieci moje ugruntować w religji i w zasadach prawych, bo kto wie jaką nam Bóg da z nich pociechę? —

— Nie troszcz się łaskawco, tyle ci zacytuję przykładów: oto i p. Stanisław, i p. Ignacy, i ten, i ów, gdzie tam i zliczyć wszystkich powracających z dalekiego

świata, co przecież się nie zepsuli opuściwszy dom rodzicielski i nie zastygli w chłodzie i głodzie. — Mo- sanie, — złoto czyści się w ogniu a człowiek w przygodach.

— Panie Janie, nie każdemu uda się wyjść ca- łym z ogniowej próby, przerwała p. podkomorzyna. Mój synowiec Julek był zdaje się poczciwy chłopiec, a jednakże daleko od domu, nie wiedzieć w co się obrócił.

— Czyż w pszenicy od początku świata nie rośnie kąkol, a przecież dotąd nie zginęła pszenica? — Kto wychowa dziecię na dyletanta życia ten i będzie miał takiego. Kto wychowa na samoluba, ten niech na podziękę czeka niewdzięczności. Co do mnie, najwię- cej obrzydzam świętoszków, coto „Przekrzywiwszy główkę chodzą, jakby z Panem Bogiem dzisiaj ga- dali". — Mój Józio coś na takiego zakrawał, lecz gdy koledzy w szkołach sprawili mu otrzęsiny, wy- raźniał chłopiec i jest do człowieka podobny.

Pani podkomorzynej synowiec za nadto lubił wygódki, życie mu za przysmaczek, i to go zwich- nęło, i to wielmi zawsze jedwabnych pieszczochów.

— Pani podkomorzyna znać musi p. Alberta pieszczocha babuni; delektuje się on życiem jak motylek różą. Pierwszy wiatr go złamie, a uciekając od bolu wyprze się krzyża gdy mu poganin obieca ratu- nek. — Babunia cackając chłopca skrzydła mu zwichnęła, — powiedział p. Jan. —

— Pan Jan dobrze za surowo sądzi, odrzekła podko- morzyna. Wreszcie, — państwo zawsze na nas narzekacie — jakby kobieta nie mogła syna wychować.

—— Wszakże i p. Stanisław nie miał ojca, pogrobowcem się urodził, a przecież jakito z niego człowiek, odezwała się p. marszałkowa. —

—— To prawda Mości Dobr., ależ to mało takich kobiet jak matka p. Stanisława; ten z resztą nie chodzi oto kto wychowuje dziatki, lecz jak je wychować potrafi! Na te słowa weszedł Stanisław a p. Jan rzekł: — o wilku mowa, a wilk tu. Mówiliśmy Stasiu o twojej matce która już spoczęła w grobie.

—— Nie zdołała mnie doczekać. — List jéj ostatni pisany przed rokiem do mnie był jéj testamentem; mam go zawsze przy sobie jako najdroższą pamiątkę. —

—— Przeczytaj nam go Stasiu. —

Stanisław wyjął z pugilaresu ćwiartkowy listek i czytał głośno:

„Mój drogi Stasiu! Nie doczekam ciebie, mgli się w pamięci, mgli się i w życiu. Od wyjazdu twego dni moje płyną w ciężkiem sieroctwie, cała w tém pociecha żeś ty zawsze ten sam kochany Stasiu. — Kochaj bliźnich, kochaj złych nawet, bo oni godni politowania. — Łącz się z bliźniemi nie zatracając siebie; nie żyj jak kret w norze — bo z mizantropa staniesz się samolubcem. —

Kto mniéj umié od ciebie Stasiu, tego naucz co sam umiész, a kto więcéj ma światła — od tego nabądź ożywczych promieni. — Prawdziwe światło i miłość czynią cuda na świecie. — Nie sostawiaj

ci żadnéj puścizny, wszak wiesz że nie niémam próz-sena, co kocha Boga — rodzinę — i ciebie. —

Od wyjazdu twego mój synu, mieszkam w klasztorze pp. Marijawitek: poczciwe siostry dały mnie celkę przez któréj okno widzę błękit nieba, i nieraz patrzę duszą aż tam gdzie ty jesteś. — Serce matki wszystko odczuje. — ja wiém kiedyś ty smutny, ja czuję kiedy ci głodno i chłodno; lecz i to czuję żeś ty mężny duchem, i że ciągle czuwasz nad sobą by żadna pokusa nie oplątała ciebie. —

Nie długo — a już wypowiém ziemi do-czesne mieszkanie: lecz w glinianym słepku jest przeczucie silne wiecznego żywota, jest pra-wda objawiona — że zło nie zabije dobrego, że fałsz nie przerośnie prawdy. — Błogosławię ciebie jak matka syna, jak duch ducha; błogosławię ~~[illegible]~~ na dzisiaj i na przyszłość, — a kiedy do niéj dragę-powiedzą ci wiara, nadzieja i miłość. —

Gdy powrócisz do domu już mnie znaj-dziesz w grobie: cały mój fundusz zawiera się w ubogim sprzęcie który zostawuję uboższym od siebie, a gromnicę — i portret Tadeusza zapi-suję tobie. —— Czuję że wkrótce odpadnę jak listek od ojczystego drzewa, którego latorośla ty jes-teś mój synu. — Na wieki wieków amen!

Marijanna. ~~[illegible]~~.

Po przeczytaniu listu nastąpiło milczenie, każdy odmawiał wewnętrzną modlitwę za duszę

Marjanny, a synowi łza rzewna jasny wzrok zaćmiła. —

W krótce przybyło więcej gości do podkomorzyny, a gospodyni domu rekomendowała im wędrowca który musiał opowiadać ile obiegł świata, ile widział ludzi, — zwierząt — i rzeczy. —

— I pan tyle lat przeżył daleko od matki, odezwała się z żalem śliczna panna Anna. —

— Tak pani; — przeżyłem nie bez cierpień, ale są biedy które posilają człowieka. Nie żałuję dni minionych, bo żadna chwila nie zginie w bożym rachunku. —

— Jabym nie mogła tak długo przeżyć bez mamy, rzekła p. Jadwiga. Ciąglebym płakała, tęskniła, pytała skąd chmurki płyną, skąd wietrzyk wieje, czy nie od rzek naszych, bo gdzież ładniej jak u nas? —

— Dla Jadwisi Mińsk najpiękniejszy, powiedział ojciec, ~~chy~~ bo nigdzie więcej nie była, chyba na skrzydłach wyobraźni gdzie dalej latała. — A zagranicę chciałoby się panniej naprzykład do Paryża, — nieprawdaż? —

— Chciałabym mój papo, ale na rok tylko: później wróciłabym znowu do naszej Świtłany. Nasze rodzinne niebo, nasze kwiaty piękniejsze od wszystkich, a nasze słowiki cóż z niemi zrównać się może? — Ja nigdzie więcej żyćbym nie mogła!

— Żeby to wszystkie nasze kobiety tak myślały i czuły, nie byłoby tych rzewnych wędrówek po cacki i stroje, powiedział p. Józef. —

— Państwo byście nas jak perły na zawsze pozamykali w Konchach. — odezwała się panna Idalija. —

— Przeciwnie, odrzekł p. Ezechijel, my się lubujemy prawdziwą perłą, a fałszywą tylko trzeba trzymać w ukryciu by pozorną wartością ludzi nie łudziła. —

— Jak się pan Ezechijel zakocha i ożeni, inaczéj będzie sądził — bo miłość ślepa, rzekła p. sędzina. —

— Była nią wtedy gdy kobietę miano za ładny kwiatek, dla rozwicia którego dosyć trochę rosy i trochę słońca. Dzisiaj jest inaczéj — lilija mieć powinna wytrwałość dębu, a gołębica polot orlicy. — Ślepota zniszczy światły wybór małżonki, a swacią takiéj pary — zasada chrześcijańska. —

— Toć i panna powinna wiele wymagać po swym narzeczonym, rzekła p. Idalija. —

— Więcéj jak skoczka na złotym posażnym sznurku, więcéj jak skład pachnideł, koronek i gracików, odrzekł p. Ezechijel. —

— Przyżeniny temu winne że najwięcéj takich? zagadła p. sędzina. —

— Nie jednych pań w tém wina, lecz nie możecie temu zaprzeczyć śliczna moja pani, że dłoń aksamitna i czoło jedwabne milsze wam od ręki szorstkiéj i wypracowanéj, od skroni bolem wyoranéj. —

— Nie każdéj z nas, szepnęła Jadwisia na ucho Annie patrząc na Stanisława. —

Wieczerza przerwała rozmowę, a w dni kilka

później [Stanisław] wyruszył do Wilna. — Rodzinne to jego miasto; tam się urodził i wyrósł nad wesołą Wilenką; tam pierwsze kwiaty marzeń oplotły mu skronie; tam pierwsza łza podań ochrzciła mu serce. — Później nauka zajęła myśl młodzieńca, a z kolei — pojechał bliżej biegunów, — i wrócił po latach wielu z jednakiem zawsze sercem i tą samą wiarą. —

Gdy ujrzał Stanisław piaszczyste brzegi Wilji, drgnęło mu serce głęboką radością. Jadąc Zielonym mostem szukał oczyma znajomych twarzy – lecz ich nie spotkał. — Szło tylko kilku sołdatów, kilku obdartych żydów, parę przekupek z koszami orzechów i nikt więcej. — Było to jeszcze preludijum dnia; zaledwo wschodzące słońce zapłoniły wody Wilji, a samotny rybak śpiewając piosnkę rodzinną zarzucał wędkę szukając dziennej strawy. —

Kościół Sgo Rafała cały był w promieniach; szczyty domów i wież kościelnych w pasy wyzłocone. Ranek był prześliczny; cieniuchny rąbek chmury znikał wśród promieni, i z duszy Stanisława uciekły smutki na widok ojczystego gniazda. — Gdzie oko nie skoczy lubo i pięknie – aż do szarych wróblów bawiących się na dachach. — Mijając kościół Sgo Jana wyskoczył z bryczki; wbiegł do otwartej świątyni i upadł na kolana. — Pusto było w bożym domu: – ławki stały próżne, koła słoneczne ugrzęzły po ołtarzach, a w tych promiennych ramach migały bratnie twarze zmarłych towarzyszy. —

Skarb myśli i uczuć zebranych z niemi świecił mu w życiu: oni teraz w mogile, — a on w zapasach z życiem; co oni zebrali złożyli u stóp Boga, a co on uzbiera złoży na świadectwo prawdzie. —

Zostawiwszy łzę i modlitwę na opromienionym ołtarzu, Stanisław pojechał dalej. — Przekupki z koszami już się po ulicach snuły, około ratuszowego placu zasiadały rzędem, a każda chwaliła swój towar, patrząc z ukosa na swoją sąsiadkę u której pierwsze zjawiają się nowalije. — Premicije trybułki rodzą gniew; premicije ogórków rodzą prawie nienawiść, a groch i szparagi obudzają pokoleniowe urazki. —

Odezwała się i sygnaturka u Ostrej-bramy, lecz Matka-boska jeszcze szklanną osłoniętą zasłoną. Na klasztornym dachu kołyszą się kawki, na galerji pusto, na dole siedzą żebracy rozmawiając głośno. — Stanisław poznał z nich wielu acz dobrze podstarzałych. Dwie szczególniej żebraczki sobie przypomniał, nie się nie odmieniły kolosalne baby: te same piramidalne kołtuny ciężyły im na głowie, tyże barwy łachmany i tej siły kostury co je podpierały. —

Stanisław ogarnął okiem ołtarz, i myśl płonącą uwielbieniem dla opiekunki miasta posłał wysoko. — Przedumał chwil kilka, westchnął głęboko i pośpieszył do zajezdnego domu. —

Nieupłynęła doba a już Stanisław obiegł całe miasto. — Był i na Górze-Zamkowej, i z wyniosłych wyżyn spojrzał na gród rodzinny,

pozdrowił zwaliska zamku – w których w téj chwili zaszeleścił wiatrzyk, jakby duch ruin coś lekko naszeptał i wpadł między zielska będące codzienną i świąteczną sukienką zamku. – Stanisław długo chodził i dumał, później zaszedł do botanicznego ogrodu – zastał tam pusto i smętno: i niema już tego kogo tam spotykano o każdéj dnia porze, – co lat tyle przedumał i przebolał w cieniu drzew mu miłych. – Postać jego poważna jak duch opiekuńczy ogrodu już przeminęła mieszkanie. – Jasna i nie zapomniana wiecznego już używa spokoju. Stanisław oddał jéj hołd należny, bo któż nie uszanuje pamięci czcigodnego Jundziłły! –

Nie wielu dawnych kolegów znalazł Stanisław w mieście: jednych śmierć, – a innych różne życia wypadki wydaliły z Wilna. Lecz nowe związki łatwo się zawierają tam, gdzie serca dyszą braterską miłością; i wszędzie są ludzie których mało wiedzą i mało mówią, bo nie świetni z pozoru a żyją życiem wewnętrznem i ciągłą pracą. – Z taką się poznał młodzieżą i taką ukochał Stanisław. Do suterenów i poddaszy dochodzą promienie słońca, a choć tam nieraz skąpo chleba i omal kwiatów, wiatr nieraz zanosi nasionka lauru i splata je z cierniem. –

Stanisław miał ciężką pracę przed sobą, nie chcąc być ani studentem niczyim, ani pasożytem; nim się oglądnął do koła najął izdebkę na Antokolu i z przyjaciółmi obiegał okolice miasta. –

W dzień Bożego-Ciała wszystko przybrało uroczystą postać; gromady ludzi roiły się na ulicach, słońce jasnem spojrzeniem rozpłynęło się po niebie; starcy, młodzież, i dzieci jak aniołki w bieli szli liczną processiją, a ponad miastem rozlegał się śpiew ludu, modły duchowieństwa, melodija licznych dzwonów, szmer chorągwi i blask ołtarzy przybranych w złociste szaty. —

Stanisław przez lat tyle nie widział tego obrzędu, a doroczne święto każdemu drogie, jako najmilszi goście dawnych szczęścia czasów. —

W sercu zebranego ludu świątecznie i uroczysto — jakby duch boży zstąpił na ziemię; lud klęczał na bruku, białe sukienki dziewcie dmuchał lekki wietrzyk jak w skrzydła gołębi; niezliczone głowy — jak fale kłosów pochylone wszystkie, a myśl zwrócona ku Bogu — jak gdyby każdy liczył się z sobą i zapalał w duszy płomień nieskończonej miłości. —

Wieczorem Stanisław poszedł z Bolesławem B* odwiedzić Zakret, ową cichą ustroń — którą jak zielona draperija osłania bór tajemniczy powiernik tyle myśli, westchnień i natchnień młodzieńczych. — I Stanisław przed laty szedł nieraz o świcie z książką do boru i dumał ponad rzeką przez całe godziny. — Fale wody nie jednej mu myśl uniosły, nie jedną przyniosły, a teraz po latach tyle i cierpieniach tylu, szedł znowu nawiedzić ustroń o tyle lat starszy. —

——Jakże drzewa porosły, jak się nachylił pa-
łac, mówił ~~[illegible]~~ Stanisław: w jednym
łzę wywoła a w innym ciekawość. We mnie,
czyjemkolwiek siedliskiem byłaby ruina – zawsze
żal budzi, bo tyle rąk na nią pracowało i ty-
le myśli w kamieniu zastygłych. – Teraz gmach
się obala straszy nieraz przechodniów, jak
trup niepogrzebany – któremu za pokutę ka-
zano stać przez lata. – Ty Bolesławie – pewno
tu często przychodzisz? –

——Kiedy zapragnę ciszy siadam nad rze-
ką i patrzę jak płynie woda, jak jéj krysz-
tały błyszczą iskrami odbite w promieniach
słońca. Wśród tych marzeń przyjdzie nieraz
myśl taka jak żeby ją anioł od <u>Adama</u>
przyniósł i nam maluczkim dusze nasze kor-
tował. – Po takiéj chwili można wziąć ko-
munię, lecz czystem trzeba zaprosić gościa!

——Kto pragnie – ten źródło znajdzie mój
Bolesławie. – Ach, odetchnąłem tutaj między wami
bracia. – Tam, – daleko, – ciemniało mnie nieraz
w duszy i zciemniałoby zupełnie gdyby wróżka
nadziei umilkła na chwilę. – Wszystko mnie
tutaj ożywia: zwiędłe liście spadają, ziemnie,
piasek mogilny piękniejszy od złota. – Jutro
mamy być w Werkach: pani Norska z córka-
mi, ty, Zygmunt i Wacław popłyniemy tam
łódką. Lato się kończy, codnia mniej promieni,
fale Wilji więcéj drzemiące, natura cała chce
wypoczynku. – Przy końcu Września wyjadę

na wieś, odwiedzić dawno znajomych ludzi, — krzyże, — góry, — lasy, — i pola które od lat dziecinnych nosiłem w sercu, a wśród rozlicznych przygód strzegły mnie od złego. —

I oba zachwycając się pięknością rodzimej przyrody wracali do domu około północy w godzinie duchów, marzeń i głębokiej ciszy. — Gdy dzień świąteczny nie jeden podchmielony wraca z przechadzki śpiewając wesołe piosnki, inny brząka na gitarze siedząc na oknie drewnianego domku przedmieścia, odzywają się skrzypce i flet samotnika gdzieś na poddaszu, a choć różne brzmią dźwięki, stanowią jednak harmonijną gammę na cześć pięknej nocy. —

Nazajutrz, około czwartej po południu wypłynęła łódka — jak ogromny bukiet rzucony na wodę. — Płynęła z początku zwolna jak samotny łabędź, plaśnie niekiedy wiosło przerywając ciszę i znowu się zniża ze szmerem wody. —

Stanisław witał okiem wszystkie przedmioty dokoła: — każdy pagórek — to brat jego rodzony a każda dolinka — to jego siostra. Wyrósł w tej okolicy, będąc studentem biegał często z koleżkami do Sterek i za ostatnią dziesiątkę kupował obwarzanki i mleko do wspólnej biesiady. — Teraz znowu te miejsca zwiedzał, przyroda była ta sama, tylko jéj ręka ludzka dodała sztucznej ozdoby. —

Wszędzie gdzie nie spójrzy oko — kwiaty, altany, gaje z georginiów, piramidy z hortensji, palmy

zielonozłote stoją gruppami, wyniosłe cyprysy zielenią się smętnie jako wygnańce z ojczystej ziemi, długi szpaler drzew pomarańczowych prowadzi do oranżerji w której kwiaty południa hodują się pilnie.—

—— Mój Boże, jakże się tutaj wszystko odmieniło!— Gdyby nie Wilija, gdyby nie wąwozy, nie poznałbym Werek.— Dawniej było inaczej,— a teraz inaczej: patrz i dziw się człowiecze co robi sztuka staczona ze złotem, powiedział Stanisław kiwając smętnie głową.—

—— Chodzić po kwiatach, deptać róże i ciernie, śnić tylko o raju ziemskim, rzekła panna Julija.—

—— Tak,— przecudnie wszystko dla oczu; w rajskiej kwiecistej woni można prześnić życie, i nie pomyśleć nigdy że tam jest pozaświat, że tu jest niedola, że śniąc za życia w rozkoszy— można się po śmierci w męczarniach potępienia obudzić.—

—— Pan Stanisław nagle zesmutniał, powiedziała panna Marija.—

—— Być może,— lecz sam niewiem dla czego.—

—— Może jakie wspomnienie obudziło się w duszy, zapytała panna Zofija.—

—— Któż niema wspomnień,— jakież u nas miejsce niema pamiątek? Przeszłość nieraz zaboli, lecz prawy chrześcijanin nieostyga w nadziei, i to przyśpiesza uczuciem co mu czas kiedyś winien domierzyć.—

—— Ale nam śpieszyć trzeba z powrotem, bo naszej mamie wilgoć szkodzi, powiedziała Julija.—

— Dobranoc moje dzieci; słońce już pożegnało ziemię i nam czas do domu. —

Poszli wszyscy nad brzeg Wilji, a schodząc do łodzi spotkali człowieka w płaszczu obwiniętego; szedł jak cień zwolna mówiąc sam do siebie:

„Nieba ludzi wyprawiły
„Iść po ciemniach do nadziei;
„Trafić w bólach do mogiły."

— Mamo, to biedny p. Józef idzie tak zamyślony że nas nie widzi, szepnęła Julija. —

— Któż to jest? zapytał Stanisław. —

— To biedny młodzieniec nazwany przez gmin fixatem: on tyle wycierpiał, tyle kochał, — że straciwszy nadzieję obłąkał się nieborak. Idzie ciągle, sam mówi do siebie, obiera polne kwiaty, deklamuje wiersze a najczęściej swoje, dziwaczne nieco wprawdzie lecz pełne uczucia, — i mieszczą bardzo głębokiej prawdy, rzekł Zygmunt. —

Biedny Józef nie widział nikogo, podniósłszy głowę na księżyc powiedział głośno: Sam drży i błyska gwiazdka jak nadzieja na łonie zwątpienia. — Tyle strat, — tyle wysiłków, — ~~tyle~~ tyle bólów — a wszystko nadaremne! —

— Jak się masz p. Józefie? powiedział Zygmunt.

— Dobrze się mam, lepiej jak ten księżyc w gierlandzie żałobnej. A Państwo skąd i dokąd?

— Wracamy do miasta, może odpłyniesz z nami?

— Bardzo dziękuję, — muszę iść dalej.

— Noc chłodna, — przeziębisz się p. Józefie. —

— Pożyczy mnie ona siwego szafirowego ptaszczyka, nie będzie mi chłodno, a wreszcie — ja nie idę ale lecę i wiém co to być ptakiem — bom wyleciał z piekła. — Za młodu — kochanka moja przykuła mnie do słońca, lecz oderwali mnie ludzie i przyciągali do ziemi. — Czy państwo znacie tę dumkę:

I mnie kiedyś dobrze było
Póki słońce moje żyło:
A gdy zwiędły życia kwiaty,
Szczęście prysło gdzieś w zaświaty.
Chłodno w sercu — ciemno w głowie,
Tęskno w duszy — mętno w mowie,
Bo gdy szczęście nas ominie,
Wraca tylko w wielkiém czynie. —

Z temi słowy Józef upadł na kolana, wzniósł ręce do nieba i szeptał zwolna:

~~[illegible]~~
Ten, co zmienia kolce w kwiaty,
~~[illegible]~~,
Da ludzkości nowe szaty,
A miłością cuda stworzy,
Chłodnych, — pysznych upokorzy. —
Dłoń ofiarna zagra tony
Niech Bóg będzie pochwalony!
Bóg odpowie: — Szczęści wam dzieci —
W zgodzie bratniej — słońce świeci! —

A ptak biały w górę wzleci, — wzleci, — i pobiegł

i pobiegł powtarzając te słowa — a echo poniosło
za nim — <u>twlaci</u> — i zniknął za rzeką. ——

—— Gdzie pobiegł w nocy? zapytał Stanisław. —
—— Na Pohulankę albo do Zakrętu, odrzekł Wacław.
On nie ma stałego mieszkania; dzisiaj tu — jutro tam,
a najczęściéj pod gołem niebem dnie i noce spędza. —
Skoro zakwitną łąki przynosi olbrzymie kwiatów
bukiety rozdaje znajomym i składa na ołtarz
Panny Ostrobramskiéj. Dramat młodości
jego bardzo opłakany; opowiém ci jutro wszystko,
a teraz, życzmy dobréj nocy łaskawym paniom
i ruszajmy do domu. ——

—— Dobréj nocy — do jutra, — i rozeszli się
każdy ~~w~~ swoją drogą. ——

W dni kilka później Stanisław idąc przez
<u>Koński-targ</u>, zatrzymał się na chwilę chcąc się przy-
patrzyć zbiorowisku ludzi, a był to dzień targowy
gwarny i ludny. — Ciżba żydów i różnego kraju lu-
dzi napełniała rynek; roiło się mrowisko targujących i
sprzedających. Na wozach leżą cielęta beczące jakoś
żałośnie; krzykliwe prosięta i ich tkliwe mamunie
wabią do siebie ciekawych przechodniów leżąc na
wozie ogarnirowanem słomą. — Tutaj wół stoi opuś-
ciwszy głowę — jak żeby już nóż przeczuwał; tam
krowa patrzy żałośnie tęskniąc po kwiecistych łą-
kach. Gdzieniegdzie galopują żydzi biegli w cy-
gańskiéj sztuce, wyliczając cnoty wierzchowców.
—— Jegomość — jegomość! — woła rudobrody, — oto
czwórka, choć do senatorskiéj założyć karéty. ——

— Oj żydzie, żydzie, — chcesz mnie oszukać, odpowiada otyły jegomość ze wsi widać przybyły. —

— Kupiłem ze stada p. marszałka, na honor powiadam. —

— Żydowski honor, a to zabawnie, gdzież go kupiłeś? zagadnął jakiś pan poważny. —

— Jasny panie, — oto czwórka choć do Paryża jechać; pan generał daje mnie sześćset rubli jak lodu, pod chejrymem przysięgam. —

— Nie zajedziesz i do Płocka tą czwórką choć zdaje się tłuste, a jak pójdą do pracy wnet opadną z ciałka i twój chejrym schudnieje żydzie. —

Żyd pokiwał głową, splunął przez zęby, stuknął w bok konia i poleciał na drugi koniec rynku z rozwianemi pejsami. —

— Jegomość! — woła znowu hebrejczyk, mam trójkę po tureckich, p. marszałkowie targuje; pan tylko taki jak jasny pan może takie konie kupić, — szlachcic nie zna się na nich. —

— No-no, żydzie, kadzisz pochlebstwem, a gdzież twoja turczyzna, zapytał jakiś jegomość otulony bobrowym pysznym kołnierzem. —

Żyd podskoczył, pomrugał, podprowadził trójkę jak węgiel czarną a tak ognistą że zaledwo żydek mógł ją utrzymać. — Pan w bobrach oglądał towar, żyd plaskał językiem, gładził i porządkował ogony, powtarzając ciągle: — to fajn to fajn! — Takie konie tylko dla panów, do koc-karety jasnego pana. —

Skutkowało widać kadzidło, bo przyszło do targu.

—— Dam 200 okrągłych ani grosza więcéj. —

—— Co jasny pan mówi, taka trójka? Pan graf daje mnie sześćset, jemu potrzeba koni bo się żeni z bogatą panną. —

—— To oddaj mu bo dobrze płaci. —

—— Ja na kredyt nie daję a on niema gotówki, powiedział żyd z ironiją. —

—— Dam 220 ani grosza więcéj. —

—— Z przeproszeniem jasnego pana: taki bogacz targuje się z biednym żydkiem – to już koniec świata. —

—— No niech cię djabli biorą, dam 300 na twoje sumienie. —

—— Moje sumienie jak puch lekkie; no dołóż jasny panie, – fajn trójka dla panów tylko. —

—— No przeklęty żydzie 320 ani szeląga więcéj.

—— No bierz pan, tylko dla pana oddaję. Mój ojciec z przeproszeniem pana znał się z pańskim ojcem i nu, rzekł uśmiechając się mistérnie, niesie szachrował i targował z nieboszczykiem jasnym prezydentem. —

—— No pamiętaj żydzie, jeśli mnie oszukasz nigdy ci tego nie wybaczę i za szachraje oglo-szę. —

—— Czy my nie ludzie? – i nam honor drogi, tak jak jasnemu panu i innym panom, odrzekł gładząc pejsy ~~[illegible]~~ i połykając oczyma pełny pugilares z którego pan w bokach wyjmował pieniądze. —

Pokazało się później – że trójka miała zęby podrabiane ~~[illegible]~~, jeden koń forbowany a dwa ochwacone.

— A to łajdak, mówił do swej żony przymawiając się na szachrajstwie właściciel trójki. —

— Żydom wierzyć nie trzeba, odrzekła żona. —

— Nie oszukają mnie więcej moja Emilko, tylko się nie smuć aniele. — Przywiozłem dla ciebie trzy sznury pereł tak doskonale imitowanych, że będziesz mogła sąsiadki swoje zaręczyć honorem, że są urjańskie; sędzina oszaleje z zawiści bardzo rad jestem i z kości i z jej alteracji. —

— Mój Adasiu, to cóż będzie na kształt tureckiej trójki, odrzekła Emilka gładząc męża po twarzy. —

— To niewinna kłamstwo i tem bardziej niezbędne, że tobie moja duszo nie wypada nie mieć prawdziwych pereł: a to doskonała imitacija, imponująca sędziemu, co nas na kontraktach pożyczyć nam pieniądze na czwarty procent —

— Zapewne mój drogi, że to niewinna finesse, i tak nam do interesów potrzebna.

Żyd nic nie mówiąc otem ze swą żoną, i drugą zbył trójkę, a Stanisław patrzał ciekawie na wybiegi handlarzy i zbliżył się do jednego wozu do którego był uwiązany wół nie pospolitej wielkości. Ten co przedawał wołu targował się z jnną żydów. — Głos jego zdał się być Stanisławowi znajomy, podszedł bliżej zajrzał mu w oczy i z wielką radością poznał w nim Antoniego. —

— Antoni — mój drogi! jak się masz? i rzucił mu się na szyję Stanisław.

— Ach panicz — Pan Stanisław — mój Boże! czy nie mylą mnie oczy? mówił ze łzami Antoni całując ręce Stanisława. —

Wyszli z Kumu oba by się dowodzi najpierwszych i o wszystkiem pomówić na przedzie. —

— Dobrze ci się powodzi mój poczciwy Antoni? zapytał Stanisław. ~~[illegible]~~

— Dzięki Bogu nie mogę ~~[illegible]~~ narzekać na los mój. A jakżeż czekałem panicza? Chrystemuż mój Jezu, nie było dnia żebym go nie wspomniał. Musiała panicza często czkawka męczyć, a moja Agata dwa razy śniła że panicz w czyściutkiej wodzie ryby połowiał. Dobra to wróżba, mówi Kuma Józefowa, a to roztropna i bywała kobiecina. —

Mój mocny Boże ot i doczekałem kochanego panicza, a dzisiaj od rana wesoło było na duszy, chociaż żydzi natargali niechaj ich kaczki zdepczą jak smoła wozy łaszą. — Teraz z radości oddałbym mego wołu za rubla, — ale nie tym żydom — nie doczekanie ich; wolę odprowadzić do domu i zarżnąć na dożynki na pamiątkę ~~[illegible]~~ powrotu kochanego panicza. —

— Dziękuję ci mój Antoni za twoją o mnie dowiedzioną pamięć, przydwójnie jestem twoim dłużnikiem i sercem i groszem. —

— Kiedy tak to nie mówmy o tem paniczu. — Oh, żeby to panicz kiedy odwiedził naszą chatę

i nasze pobłogosławił robaczki, a dał ich nam Pan Bóg pięcioro. Może choć mimojazdem Panicz wstąpi do nas. — Nie tak daleko mieszkam od miasta tylko pół piątej mili; wyjechawszy ze słonkiem za światła wracam do domu. —

— Przyjadę umyślnie do was; za dni kilka mam wyjechać na wieś i do was zboczę i szczęściem waszem cieszyć się będę. —

— Ja sam po panicza przyjadę, mam wygodną katamaszkę i walne bułanki, aż pył się kurzy takie sprawne i silne — A jakże tam mogiła nieboszczyka panicza; czy nie złamał wicher krzyża, czy mówi kto modlitwę za duszę jego? Ach mój ty Boże! już wżdyć nie przyjdzie się pomodlić na jego grobie, a tutaj codnia z dziatwą westchniemy za duszę biedaka.

— Krzyż zostawiłem nienaruszony i wiele nowych przybyło od twego wyjazdu, a modlitwa szczera doleci zewsząd do Boga. —

— To prawda kochany paniczu, gdzie nie spójrzysz jest Bóg, ale smutno być musi księży daleko od swoich — i smutno żyć bez swoich! —

Oba westchnęli głęboko mówiąc: do zobaczyska, a w tydzień później, w śliczny dzień wrześniowy, Antoni przyjechał po Stanisława.

Za miastem jeszcze zielono chociaż nie wiośniano; kłaniają się ciemne bory Stanisławowi, migają jesiona wypogodzone cisze; chmurki w różnobarwne pasemka krzyżują się po niebie,

przypominają się wzgórza porosłe leszczyną, a Stanisław zlewa się całą duszą z rodzinną okolicą, pełny i czegoś szuka, — może anioła co jego oczy na świat otworzył i z lampką wiary do dziś dnia prowadzi? —

Z zachodem słońca stanęli na miejscu. U wrót Agata z dziatwą czekała gościa, a wszyscy świątecznie przybrani; podwórko nawet usypane polném kwieciem i dębowym liściem.

Domek Antonich stał nieco na wzgórzu jakby opiekun sioła; ulica do niego wysadzona wierzbą i jarzębiną bogatą w korale. Przy każdej prawie chacie owocowy sadek zaszczepiony ręką Antoniego, co lat kilka nad tém pracował nim kozy, te niszczycielki drzewek, usunął z wioski. — Dużo też miał kłopotu nim wzbudził w swéj braci chęć do zakładania sadów. Czy to wszystko, mówili kiwając głową i opuszczali ręce. —

Wszystko w chacie Antonich uśmiécha się do Stanisława: w izbie światło i czysto, gospodarze serdeczni, dziatwa obyczajna, czeladź doboduszna. — We wszystkich kątach porządek; podłoga cegłą wysadzana, w świetlicy obrazki świętych porozwieszane na ścianach; piec zielony kaflowy stoi szeroko rozparty, pod stołowaniem wiszą pęki ziółek leczących od różnych chorób; parę dębowych stołów i sześć zydelków czerwono pomalowanych stanowią sprzęt świetlicy. — W drugiéj izdebce takież same sprzęty,

tylko ogromna skrzynia stoi pod oknem i szerokie ławy przy ścianach. Obok izdebki alkierz z oknem wychodzącém na sadek, [illegible] którego rozłożyste drzewa ocieniały spokojną siedzibę Antonich.—
[illegible]

Gospodarze i czeladź mieszczą się w drugiej połowie domu; tam pierwsza izba obszerna wytrzęsiona ajerem, piec ogromny z przypieckiem na którym w zimie siedzą czeladź dzieci i koty; pod oknem stoją krosna, przy ścianach zydel i dębowe stoły.— Dalej komora [illegible] napełniona rupieciami, też alkierz z pieczurą— sypialnia gospodarzy i dzieci, a przestronnie wszystkim aż do pastuszka mającego swój kątek i łóżko.— W niczém nie widać pstrokacizny właściwej dorobkowiczom, lecz wszędzie czystość i poczciwa wygoda.—

Stanisław zalokował się w gościnnym alkierzu mając dni kilka u Antonich pogościć, a dobrze mu tam było jak we własnym domu. Agata pytała co chwilę czy nie usmażyć jajecznicy, czy nie upiec oładków na maśle; posłała po ryby Kaźmierzka, po raki Ewkę, przemyślając ciągle czém uraczyć tak miłego gościa.—

Antoni oprowadzał Stanisława koło gospodarki: we wszystkiém widny ład staroświecki a czynność nowoczesna, bo już i łąki zaczęły się plantować, i czarnoziem na jałowizny wywozić, i w lesie siekiera była już grzeczniejsza.

Po całodziennym ruchu i pogadance, Stanisław w alkierzu mile odpoczywał; okno otwarte

otwarte, księżyc zagląda przez liście, w chacie ucichło wszystko, dwa psy wilczate drzémią siedząc na progu; Antoni obejrzawszy całe domostwo i czy wszędzie ogień popiołem zasypany, wszedł po cicho do Stanisława chcąc mu raz jeszcze życzyć dobréj nocy. — Obejrzał czy jest woda w dzbanku, czy nie zakradła się pod łóżkiem kotka z kociętami, a widząc wszystko na miejscu przysiadł jeszcze na kufrze chcąc pogawędzić z paniczem. —

—— Jakże mój Antoni myślisz obrócić się z działową? zapytał Stanisław. —

—— Właśnie to mój kłopot ni siudy ni tudy z myślami; chciałem się wszystko poradzić panicza. Ignaś ma lat dziewięć, Anulka dziesięć kończy, już i Zośka podrasta, i sierotki Szymonowéj nie siedzą małkiem. Czasbyłby czegoś pouczyć, bo cóż z tego że jest i grosz w skrzyni i zboże w zasieku jeśli będą durniami z przeproszeniem panicza, nie będzie z niczego nawdy i wszystko zmarnieje. — O dobrego bakałarza trudno u nas bardzo; zaszedł przeszłej jesieni staruszek z ewangelieską, zachorował, poleżał na piecu i poszedł do domu na wieki. — Nadarzył się i drugi jakiś odstawny pisarczuk z sądu, mamił i obiecywał że wszystkiego nauczy: przebył miesiąc, wydrwił kilkoście na złotych upił się razy kilka wyszedł i nie wrócił więcéj. Ot Boże odpuść! — na nic szaławiła. Oddać do szkoły

jeszcze biedactwo za młode, zapłakałaby się żona i mnie byłoby ciężko na sercu. — Ot mój drogi paniczu co mnie Pan Bóg mówi: oddaj Ignasia do pana Stanisława a wyjdzie na człowieka i postawi jemu. —

— Dziękuję ci mój Antoni za twą ufność we mnie i już pomyślałem jak ci doradzić. — Ja przez czas jakiś zamieszkam u was i z największą rozkoszą chciałbym wszystkim wam się z wdzięczności wypłacić ucząc wasze dziatki, a może i więcej w wiosce znajdzie się ochotników do książki.

— Otoż doczekaliśmy się szczęścia, mówił Antoni ze łzami. — Jakże to Bogu podziękować za taką łaskę? O mój drogi paniczu i mnie w cudzej stronie od zguby ratowałeś, i dziatki moje chcesz dobrego uczyć! — Ach mój Ty Boże! cóż to za łaska dla całej naszej wioski.

— Mnie z wami będzie dobrze jak w domu: tyle ~~[illegible]~~ lat przeżyłem w (oddalonej) stronie ogromne zaciągnąłem długi z których sumienia każe chcieć w części się wywiązać. Czémże zapłacę jeśli nie pracą i miłością dla was? Wy mnie pomagać będziecie waszą dobrą chęcią, — a Bóg usiłowania moje będzie błogosławić. Przeżyłem lat tyle dużo się i przebolało i widziało na świecie. Bądź pewny mój Antoni że elementarz nie uszkodzi ani pługowi ani kosie: Owszem, pomoże ułatwić i uszlachetnić znojną pracę rolników. Skostniała a gnuśna praca na którą niesie narzekacie stanie się lżejszą i dalekо

powiemszy, — wiodąc was daléj wedle zdolności waszéj. —

— Ja wierzę paniczowi i nie jestem od tego, ale ciężko będzie z mémi sąsiadami. Długo na mój komin głośno narzekali, kiwali głową idąc koło mojéj chaty, i aż ledwie we trzy lata dwóch gospodarzy odważyło się wyprowadzić kominy na swoich dachach. —

— Zwolna i z cierpliwością stare nałogi dają się przemienić, lecz czas wszystkich przekona że gnić na miejscu nie można. — Kto zasiewa ten i zbiera mój dobry Antoni, a zepsute ziarno nieda zdrowego plonu. — A teraz dobréj nocy — idź już wypocząć wszak już nie rano. —

Nazajutrz z brzaskiem zbudził się Stanisław, a mały Ignaś wsunął się do alkierza, oddał dzień dobry pytając: Czy panicz mléko słodkie czy kwaśne będzie jadł na śniadanie. —

— Poczekawszy Ignasiu przyniesiesz słodkiego mléka, a teraz powiedz czy dobrze spałeś i czy dawno wstałeś?

— Ja śpię jak zabity paniczu a wstaję ze słonkiem: zmówiłem pacierz z matulą wymiotłem izbę, umyłem się zimną wodą i przyszedłem tutaj. —

— Czy masz ochotę uczyć się czytać i pisać? —

— Ja sam niewiem paniczu choć już umiem abecadło; tatulo zawsze mówi że próżniak nie wart kawałka chleba. —

— Prawdę mówi tatulo; próżniaka Bóg nie błogosławi

i dobrych ludzi nie lubisz. —

— A gdy się nauczę czytać i pisać to panem zostanę i pracować ciężko nie będę? —

— Będziesz zawsze pracował lecz nie tak jak wół w jarzmie którego biczem popędzać trzeba. —

— Czy tak panieżu jak chłopa na pańszczyznie we dworze? —

— Tak jak każdego człowieka co nie z pocziwéj ochoty ale z przymusu pracuje. —

— Kiedy nas zaczniesz uczyć panieżu? —

— Od jutra jeśli macie ochotę. —

— Jureczek mówił że książka niepotrzebna bo nie daje pieniędzy a tylko czas mitręży. Czy to prawda panieżu? —

— Cóż Jureczek porabia w kościele i w dnie świąteczne? —

— W kościele drzémie lub ziewa, a w święto — albo do karczmy idzie albo śpi na piecu. — Onegdaj Antoś syn Józefowéj zapędził owce do chlewu i pobiegł do ple-banji a Jurek za nim pytając: „dokąd bieżysz An-tosiu"? „Znalazłem na drodze kieskę z pieniędzmi, mówił mu Antoś: niosę do księdza proboszcza niech zawoła na ambonie że znalazła się zguba". — „A wiele w kiesce? zapytał Jurek" — „Nie liczyłem powie-dział Antoś" i pobiegł z kieską. — Niedługo wracał Antoś a Jurek śmiał się z niego że odniósł kieskę i mówił „Lepiejbyś się zemną podzielił Antosiu, kupiłbyś kro-wę dla matki bo i w święto z postem jesie. — A co za to dał tobie ks. proboszcz? — [illegible] a Cotam nie-siesz pod pachą"? „Książeczkę dał mnie proboszcz, żebym w niedzielę czy-tał dla matuli". — „A ja pójdę sobie do karczmy; eh, głupstwo te czytanie."
— Jakże myślisz Ignasiu zapytał Stanisław — czy Jurek czy Antoś poczciwszy?

— A jeżeli Antoś, ab ja się boję żeby mnie panicz nie bił jeśli źle uczyć się będę, bo i pisarczyk bił mnie przeszłej zimy, — ~~[illegible]~~ cały byłem w siniakach tak chwostał i szczypał. —

— Nie bój się Ignasiu ja bić nieuków nie będę lecz uczyć przestanę, nie poprowadzę z sobą do kościoła, nie będę pieśni z nim śpiewał w gromadzie i rodzicom powiem żeby próżniaka nigdy nie pocałowali. —

Chłopczyk mocno się zamyślił, postał parę minut na progu i pobiegł opowiedzieć siostrom to co panicz mówił. —

Nie upłynęło parę miesięcy od przyjazdu Stanisława do Antonich, a już dziesięcioro dziatek sylabizowało ochoczo w przestronnej izbie. — Ubożsi jedli z dziećmi gospodarza co dostatniejszym przynosiły matki posilną strawę. Były godziny wesołej zabawy ~~[illegible]~~ w których Stanisław opowiadał dziatkom różne powiastki stosowne do ich pojęć. Później odmawiali w gromadzie wieczorną modlitwę i Wieczne odpoczywanie za dusze zmarłe w obłędzie. —

Z jednej tylko chaty nikt nie przychodził choć był u niej podrostek. — Chata stała na samym krańcu wioski i miała pozór bardzo ubogi. — Ściany były krzywe jak żeby się gniewały jedna na drugą; dach jak czapka słomiana [illegible] na bakier; dym rzadko ze strzechy wychodził, może głód i chłód dociskał mieszkańców. — Stanisław sądząc że tam mieszka nędza, poszedł ~~[illegible]~~ sam ~~[illegible]~~ jeden do samotnej chaty. —

Zaledwo jeszcze świtało nikogo nie widać, w dwóch tylko chatach dym przez dach wychodzi, kury na śmietniskach grzebać zaczynają, pod okienkami siedzą stare siwowłose poziewając głośno, i wszystko się ze snu otrząsa — ~~[illegible]~~ ludzie, ~~[illegible]~~ słońce i natura, a Stanisław idzie śpiesznie ścieżką uboczną i już przy chacie do której weszła jakaś kobieta z zawiniątkiem pod pachą. — Okienko odsunięte, słychać szmer głosów i płacz kobiety. — Stanisław osłonięty gęstym krzakiem byliny nadstawił ucha do którego wpadły te słowa: — Zmiłuj się panie Adamie daj choćby dwa ruble; kapota nowiuteńka raz tylko mąż ją nosił przed swoją chorobą. ~~[illegible]~~ —

— Daj mnie święty spokój, odrzekł głos niemiły, dam tylko rubla bo więcej nie warto. —

— Cóż ja z rublem pocznę? mąż chory od pół roku, spantowałam się do ostatka, dzieci chleba proszą. —

— Czemuż waszpani nie idziesz do swojej szlachty albo do Berki, wszak i on daje na zastawy. —

— Mnie mówili że waszpan bierzesz zastawy.

— Ja od rubla na tydzień biorę złotówkę, a jak nie opłacisz na termin to zastaw zginie. —

— Jezus Maryja! na tydzień złotówkę? —

— Jak sobie chcesz: idź waszpani do kogo innego.

— Ach Boże Boże! i co tu począć? Niema kąska chleba ani upiec z czego; — mąż słabka, dzieci

głodne i co ja pocznę? —

—— Dam rubla bo nie warto więcéj. —

—— Bój się waćpan Boga, kapota mało noszona.

—— Niedam więcéj i basta. —

—— Dołożę chustkę, — daj dwa ruble. —

—— Pokaż czy cała? —

Kobiéta zbliżyła się do okienka, zdjęła z głowy chustkę z pod któréj wypadły długie ciemne włosy i obrzuciły twarz jéj bladą jak chusta. —

Średnich lat człowiek przewracał chustkę, patrzał czy cała, a druga kobiéta stojąc na progu mrugała na niego. —

—— No cóż robić, — dołożę jeszcze pół rubla ale dołożysz grzywnę procentu. —

Kobiéta myślała chwilę stojąc z załamaniemi rękami, nareście rzekła z płaczem: bierz zastawy daj dwa ruble. —

—— Odliczę procent z góry za trzy miesiące. —

—— Cóż mnie zostanie, na długo to będzie? —

—— Dołóż więcéj rupieci — dołożę jeszcze rubla. —

—— Nie niemam tylko to co na sobie, długów szyja nie niesie a chleba codzień potrzeba, — i pracować niema czasu przy defektowym mężu. —

—— I ja pracuję, — i mnie często nogi odbiera. —

—— Bierz zastaw, daj pieniądze, — wszak z głodu nie umrzeć. —

Lichwiarz odliczył gładkiemi złotówkami półtora rubla, które chwyciła kobiéta rzuciwszy zastawy na stół, wybiegła z chaty jak z ognia, postała chwilę

i znowu nazad wróciła. —

— Czy co dołożysz jeszcze? zapytał lichwiarz. —

— Mam jeszcze obrączkę nieboszczki matki; weź i to, — dodaj rubla, — a chyba umrę to nie wykupię zostawię. —

— Cienka — znoszona — złotówki nie warta, bierz ją waszpani sobie. —

— Kamień nie człowiek jesteś, powiedziała z płaczem i wybiegła jak oparzona z chaty, a lichwiarz zaczął głośno śpiewać — Godzinki i Koronki. —

Kobieta biegąc bezprzytomnie upuściła z rąk złotówkę; Stanisław idąc za nią podniósł z gruntu i oddał biedaczce. — Dziękowała mu z duszy i chciała biedz dalej, lecz Stanisław zapytał: Kim jest ten lichwiarz?

— To kamień mój jegomość, a nazwisko jego: Adam Bruzdzinas. —

— Nazwisko kmiece, rzecz dziwna. —

— Jest to chłop zbogacony lichym sposobem, bierze zastawy, i to dobrze w biedzie. —

— Czemu się nie udasz do Antoniego Chałunasa? —

— Już razy tyle dopomógł, tyle razy pożyczył a niemam skąd oddać; wstyd oczy pokazać; zapracować nie mogę bo już i sił nie staje. —

— Czy krewnych niemacie?

— Bogaci krewni niechcą znać biednych: jam nie z tych stron rodem, rodzice odumarli, bracia gdzieś

daleko, a mąż mój stary szlachcic zubożał chodząc z papierami po sądach. — Nie chciało się zapisać do jednodworców, wywody już mamy; ale ani zdrowia ani chleba nie stało. — Już od pół roku bawi się biedak łóżkiem, wszystko z domu wyszło i ostatnia kapota poszła na zastaw, i sama jak kajdaczka cisnę bez chustki do domu ale biedne dziatki będą mieć kęs chleba. —

— Czemu się nieudacie do proboszcza? [redacted]

— Dawał i on niemało niech mu Bóg nagrodzi, ale czyż można ciągle się uprzykrzać? — Byłam i we dworze tam panienka anioł i sama pani bardzo miłosierna. Jedną córeczkę wzięli na opiekę, a reszta drobiazgu jeszcze — zmarniałby bez matki. I pochucham i ogrzeję w chłodzie i choć sama głodna kęs ostatni oddam. —

— Bądź zdrowa, [redacted] — Bóg cię nie opuści! [redacted]

— Dziękuję za dobre słowo, i odrzekła pobiegła polem niosąc ściśnięte w dłoni gorzko opłakane złotówki. —

Antoni wróciwszy do domu rozpytał [redacted] Antosich i o biednej szlachciance i o lichwiarzu. —

Pierwsza była poczciwą bardzo kobietą, i prawdę mówiła o swojej niedoli. — O drugim tak mówił Antoni: — [redacted]

[redacted] Matka jego chłopka służyła we dworze a synek podobniuteńki do samego dziedzica. —

Nieboszczyk pan wydał ją zamąż za swego szynkarza chciwego na pieniądz jak dyjabeł na dobrą duszę, a Barbarka przyniosła mu gotowiznę i w bydle dobytek. — Szynkarz w skarbie zapisany wałęsał się po dworze, a po śmierci pana poszedł do kluczwójta na służbę; później służył u jakiegoś księdza, dorobił się grosza i ożenił się z jego kucharką. Po ożenieniu osiadł na gruncie, udaje biednego a po cichu daje na zastawy.

— Czy bywa w kościele, czy chodzi do spowiedzi? zapytał Stanisław. —

— Bardzo nabożny niema co mówić; co miesiąc chodzi do spowiedzi, pości prawie ciągle, żona od rana śpiewa Godzinki, a dopomaga mężowi dyjabła do domu sprowadzać. — Mój mocny Boże! i pacierze nic nie pomogą jeśli zły duch opęta, rzekł Antoni wzdychając. —

— „Wiara bez uczynków nie zbawi człowieka” I spowiedź nie jest święta, i pacierz nie posili duszy jeśli nie kochamy bliźnich sercem i uczynkiem. Mój Antoni, — bez tej miłości pacierze są tylko oszustwem ubliżającem świętości modlitwy tak potrzebnej dla serca jak tchnienia dla piersi. — Zapewne że i to Cie zdarzyło się nieraz widzieć krzyżującego się przed świętym ołtarzem wierutnego oszusta a cnotliwy człowiek modlił się w ukryciu tając łzy pobożne. — Ciemni ludzie mieli oszusta za sługę bożego, a cnotliwego i znać nie chcieli. —

— Prawdę mówisz kochany paniczu: ot i ten

i ten Łapigrosz i pani regentowa bębnią w kościele głośno Różaniec — a ono dyjabeł wlazł do kieszeni. Jeśli Boże odpuść! jeśli tylko dla ludzkiego oka człek pacierze mówi, za panie bracie z nim szatan, a co człek wyśpiewuje to on ortoci i między ludzi puści. —

Nie prawdaż panieżu?

— Stara to prawda, ale dyjabelskie złoto coraz już mniej popłatne, nie kupić niem poczciwych, bo już dzięki Bogu, widnieje na świecie, zaczynają ludzie poznawać co od Boga, a co od złego ducha pochodzi. —

— Daj Boże tego doczekać kochany panieżu jeśli nie nam to prawnukom naszym, a tak nareście Bóg powyspędza dyjabłów ze świata. —

— Antoni moja duszo! zawołała przez okno Agata, Lejzor po len przyjechał.

Antoni poszedł do świrna, a Stanisław poszedł do lichwiarza wykupić zastaw biednej szlachcianki. — Oczy Bruzdzinasa zabłysły radością widząc niespodzianie u siebie tak gościa, sądził że świeży grosik wejdzie mu do skrzyni: lecz się i zdziwił i skrzywił widząc po co przyszedł Stanisław — choć ze wstrętem patrzał na zdziercę ubogich i potrzebnych ludzi nie wystąpił z perorą narazie bezskuteczną, lecz zwolna a gruntownie postanowił działać na dziecko zgorszenia.

Wykupiony zastaw i zasiłek pieniężny zaniósł Antoni z biedniatej kobiecie. Najstarszego synka oddała przysyłała do szkółki, nie troszcząc się ani o chleb powszedni ani o odzieżkę w którą Antoniowa zaopatrzyła chłopca. —

Upływały miesiące a Stanisław w Olszynkach niezmordowanie zajmował się oświatą wiejskiej dziatwy, a i po sło-wo pociechy i w troskach gospodarskich szli gospo-darze do Stanisława. Trudno i bardzo trudno zło i przesądy wykorzenić w naszym ciemniałym lu-dzie, lecz nad tém właśnie pracował Stanisław.

— Mój Jerzy, mówił raz do gospodarza orzą-cego zagon, dla czego nie zmniejszysz chomąta co kark naciera biednemu koniowi. — Patrz, już nawet rany ma ~~[illegible]~~ na karku. —

— E, co to złego, — mój ojciec nieboszczyk orał tak samo czemuż ja nie mogę? —

— Twój ojciec miał zapewne większego konia. —

— Troszyneczkę był grubszy, ale to mu nie szkodzi, zagoi się rana przez święta. —

— Mój Tomaszu, — dla czego nie zaprzęgasz wo-łów do sochy karkiem? Lżéj będzie i tobie i zdro-wiéj bydlęciu. —

— Moje dziady tak orali pamiętam, dla cze-goż i ja nie mam tak samo orać. Czy to lepiéj co ludzie teraz wymyślają, sami nie wiedzą dla czego? —

I tak we wszystkiém znajdywał opór Stanisław i gniewną odpowiedź rodzącą się z ciemnoty. Nie tracił wszakże nadziei że przy pomocy czasu i takich ludzi jak „Chłop z Marjampola" i jemu duszą podobnych, prze-drze się przez chwasty i własnym zachęcając

przykładem uszlachetni i umili pracę którą duch święty pobłogosławi.

V

Fraczek zjada marcepany,
A sukmana — chléb i wodę;
Obu żywot pobratany
Wyda na świat wieczną zgodę.
Duch uświęci zaręczyny,
Miłość zwiąże ręce pary,
W obec Boga zaślubiny
Otrzymają światła dary. —

O ćwierć mili od wioski w której zamieszkał Stanisław, stał dwór dziedziczki ~~Doroty~~ Rozalji Szpijalskiéj, wdowy od lat kilku, matki jedynaczki imieniem Elżbiety, wychowanéj pod czułem macierzyńskiem okiem. — Ślicznie wyrosła Elżusia pod opieką

matki i nauczycielki Bogumiły Mogilanki sieroty wziętej na opiekę przez p. Szpigalską. — Urok tajemniczy nie okrywał kolébki dziewczęcia; nie było to ani dziecię uperfumowanego występku, ani żadna, precijosa ofiara Cyganów, lecz było to dziecię ludu które ojciec odumarł, przezięblony w lesie przy wywózce belek na kościół. Matka wydawszy na świat pierworodną córkę, umarła wtydzień później zostawując Bogusię na łasce opatrzności. —

Dano znać dziedziczce że Jakóbowa umarła: kazała przynieść do dworu dziecię i hodowała troskliwie kwiatek wyrosły na bratniéj niwie, a słany znojnym potem ciężkiéj pracy. —

W lat kilka później urodziła się Elżusia, a we dwa lata potem umarł p. Szpigalski opłakany łzami żony, — domowników i kmieci. —

Pozostała wdowa kochała zarówno obie dziewczynki: Elżusi potrzeba było jeszcze mamki i niańki, a Bogusię już uczył czytać brat p. Szpigalskiéj p. Ambroży Jaworski. — Niemłody — nieżonaty, przecierpiał na wojaczce wiek trudów za młodu, a na starość osiadł u jedynej swej siostry, pomagał jéj gospodarzyć, cieszyć strapionych, i oświecać ciemnych. — Kochał sierotę z całego serca dobry p. Ambroży; rosła dziewczynka zdrowo i swobodnie, nie smucąc się bynajmniéj urodzeniem swojém. —

Nikt też we dworze nie urągał sierocie gdyż

Zacności dziedziczki wpływała na dom cały. — Stary tylko rządca zardzewiały w przesądach i panna Reparata Pleśniewska, podżyła Skarbnikówna i rezydentka odwieczna, marszczyli się oboje patrząc na Bogusię. —

— No proszę uniżenie, mawiała niekiedy p. Reparata do pana rządcy, ani poznać że Bogusia chłopka, takie to delikatne i miłe jakby jakie paniątko. —

— Dziewczysko prawdziwe, czekajmy końca, — odpowiadał p. Boch kiwając głową. —

Sąsiedzi także niekiedy się krzywili dziwiąc p. Szpijalskiej że się jej córka tak spoufaliła z tą Mogiłanką. — Jedni to nazywali zgorszeniem, inni brakiem taktu, a p. marszałkowa Odyniecka rzadziej zaczęła bywać u p. Szpijalskiej litując się nad nią że ma bzika biedaczka. —

W dzień św. Rozalji dwór niegdy p. Szpijalskiej napełniał się gośćmi. Nalatywało hukiem sąsiedniej młodzieży jak motylów na wiosnę. Panienek jak ptaszynek w maju a wszystkie prawie świeże i śliczne jak róże. — Najokazalej między pannami figurowały p. marszałkówny Emma i Dorcyza. — Guwernantka Niemka rozwinęła w nich sentymentalizm i drażliwość <u>mimozy</u>. —

Panny podkomorzanki Sierbowskie, chociaż w innym zupełnie wychowane kolorze, do pierwszego rzędu były zaliczone. — Matka ich kobieta

arcyidealna zajmowała się sama interesami, wygrała w Senacie kilka zawikłanych processów, zawiązała tam ważne bardzo stosunki, a niemając czasu trudnić się dziećmi powierzyła je praktycznej wdowie Madame Szpur przybyłej z Szwajcarji. —

P. Podkomorzy spokojny o wszystko – siedział sobie za głową swej małżonki jak za ciepłym piecem, grywał w preferansa z Ks. Wikarym, czytał dawne kalendarze z których o zmianach powietrza najtrafniej się dowiadywał, a czasem bawił się rozmową z roztropnym arędarzem Szmulem biegłym dyplomatą. ——

P. Podkomorzyna – troskliwa o dobrobyt dzieci, mawiała nieraz do Madame Szpur: – Jak najmniej proszę uczyć poezji i egzaltacji, bo te do żadnego nie prowadzą końca. – Niech moje córki będą praktyczne – bo w tem grunt szczęścia na tym tu świecie. ——

Wola p. podkomorzyny spełniała się literalnie; madame Szpour tak wykształciła swoje uczennice że mogły być wzorem oszczędności i porządku; szpilka bez główki im się nawet zdała. —

—— Nic się darmo nie daje i nic się nie bierze, mówiła podkomorzyna swym córkom; daj wody szklankę biednemu, — Bóg wam we troje oddá. —

Praktyczna matka – nawet ewangelję podciągnęła

pod tabliczkę Pitagoresa, — którą jako amulet szczęścia wieszała na szyjach córek. —

Za podkomorzankami szły p. prezesówny, do których chociaż oddawna Amor się uśmiechał, ukryły się jeszcze biedaczki — bo tak mama chciała, a dobry papa stał się echem mamy. —

Do klassycznych nauk sprowadził prezes Niemca, rodem z zagranicy. — P. Wilhelm Sztunde trudnił się od lat wielu wyższą bakałarką w zamożnych domach, a chociaż milczący, zadziwiał całą parafiję swoją uczonością. — Posiadał kilka języków, zachmurzał się w matematyce, zagłębiał się w filozofji niemieckiej, znał botanikę, praktykował muzykę, zajmował się mineralogiją, pisał nuty, — i stroił fortepiany. — Poziewał, drzemał, żarł także nie opuszczał jej książki z ręki. Spokojny, obyczajny, albo siedział w kąteczku, lub chodził lekko jak cień po pokoju założywszy pod surdut wychudłe ręce, albo zwijając i rozwijając w trąbkę poły od surduta. — Jeśli się zaco zagniewał, poklął po niemiecku, popstrykał palcami i znowu jak pająk zasiadał w kąteczku. —

Kto zapomniał tytułu książki lub nazwy kamienia, udawał się jak do biblioteki do głowy Sztunde'go, i wszyscy się korzyli przed jego nauką, i on sam w to wierzył że jest szafą mądrości

Jeden tylko p. Piotr brat prezesowej mówił nieraz swej siostrze: — Kochana Regino, ten heretyk papierowy

zasuszy, twoje córki jak kwiaty swego zielnika,
już i tak zwiędniały, siedząc nad książkami.
Napakują martwych nauk do swoich główek
a żyć nie będą umiały, i nikomu biedaczki na
nic się nie zdadzą. Wierzaj mi siostro, że ten
kartoflanny filozof sam nic nie umie bo jak
papuga uczył się bez myśli.

—— Mój kochany bracie mówiła prezesowa,
ty jako bezżenny nie możesz pojąć dumy ro-
dzicielskiej. Moje córeczki tak są uczone że mo-
głyby zdać egzamen nawet w Paryżu i otrzy-
mać stopnie. ——

—— Kandydatek na stare panny, odezwał
się p. Piotr z żalem. ——

—— Nie przerywaj bracie lecz zastanów się
głębiej, — i umiej odróżnić wychowanie moich
córek od sąsiadek naszych. — Te tylko grają,
śpiewają, świegocą po francusku nic więcej, a moim
nie obca matematyka, pracują nad algebrą, a
tegla umieją na pamięć. ——

—— To właśnie na nic się im nie zda a zawró-
ci głowę kochana siostro. ——

—— A więc nic nie uczyć według twego zdania?

—— Owszem, — trzeba uczyć ale nie przekrę-
cać głowy. — Wszak i Elżusia Szpijalska jesz-
cze się uczy, lecz nie dla tego żeby zgłupieć na
zawsze i bezowocnie nad książkami usychać. — Mo-
że jako prostaczek nie pojmuję waszej edukacji,

lecz wiem z doświadczenia że malowanym chlebem nikt żyć nie może, a cudza nauka własny rozum dławi. —

—— Kochany mój bracie, nie stawiaj mi za wzór naiwnej Elżusi która niemiała nigdy guwernerów, a nauczycielką dziewczęcia domorosła Bogusia uczennica staroświeckiego Ks. Ambrożego, co nigdy nie podróżował a obcych języków wcale nie posiadał, lub tylko sam dla siebie chcąc coś przeczytać. — Moje zaś córki tak płynnie mówią kilku językami że nie poznać je nawet jakiej są nacji. —

—— A ojczystego nie umieją wcale; historji ojczystej ani w ząb; literatury rodowitej ani odrobiny. — Naco obcych przemałpiać ze stratą swojego? Piastunka i nauczyciel powinni być z rodzinnej ulepieni gliny. —

—— Parafijaństwo mój drogi braciszku; Księżna Idalija wypisała Angielkę do swej dwuletniej Julci, a przecież ta pani wie jak wychować dziecię. —

—— Mnie się zdaje że niewie. Angielka niechaj świergoce przez zęby dla swoich współplemieńców, a nasze dąbki powinna piastować i uczyć piać ojczystą piosnkę. — Na licho nam te cudze dziwosy, — poco nam cudze zagraniczne bogi? My mamy swoje — i tym kwiat pierwszy, i tym ostatni życia oddać powinniśmy. —

—— Nie przeczę temu kochany bracie, lecz

Oświata u nas jeszcze w kolebce, bez pomocy
obcéj obejść się nie możemy. —

—— Kto acani to wmówił? odrzekł p. Piotr
z uwagą. — przypatrz się bliżéj Elżuni, to nie
wychowanie. Przeszłego tygodnia bawiłem w
Olszewie widziałem z bliska p. Sapiejalską o
któréj cnotach nie dzwonią za sto mil od nas,
a po jéj śmierci nie będzie nekrologu kapiącego
kupionemi łzami — co lada zmarłą pasuje na
matronę, lecz domownicy i biedny ludek długo
o niéj pamiętać będzie. —— Skołatany wielu tros-
kami życia, pasując się nieraz z umykającą
nadzieją, ożywam w Olszewie; zdaje mi się że
bracią żywą i umarłą mam tuż przy sercu
ogrzanym wiarą. — Patrzę na te dwie dziewczyny
pod strażą świętéj przeszłości chowane, widzę jak
na łonie ich przyszłe pokolenie zacne zasługą
w uczynkach. ——

—— Za kogoż wyjdzie Bogusia? Pan jéj
nie weźmie, dla chłopa za mędra, za biednego
szlachcica sama pójść nie zechce. — Chcąc zro-
bić łaskę sierocie, wyrządzono jéj krzywdę dając
zasady niewłaściwe stanowi. —

—— Świat dla wszystkich mają siostro: jest
miejsca na ziemi i jest pewna Opatrzność. Je-
śliby Bogusia nie wyszła za mąż, życie jéj zaw-
sze będzie pożytecznem. — To nie wasz Stlunde

żyjący cudzym tylko rozumem, a jak śmierć nadej-
dzie, skona [redacted] według metody świeżo wydru-
kowanego mędrca germańskiego. —

—— Nie zgadzamy się w zdaniach kochany bra-
cie, ale na dzisiaj dosyć gawędki; konie stoją przed
gankiem, możemy się opóźnić na imieninowy obiad.

Rodzina cała się wpakowała do przestronnej
landary, z nią i p. Sztunde z całym przyborem [redacted] Do herboryzacji, a w parę godzin
przezesostwo z córkami pomnożyło liczne grono już
zebranych gości. —

Pokoje i ogród mrowiły się ludźmi, cztery po-
kolenia winszując imienin zacnej p. Szpijalskiej.
Dwie prababki z prawnuczętami, cztery babki z wnu-
czętami, a wszystkie rześkie, wesołe, nie potrzebują
ani anodyjum dla orzeźwienia, ani drzémki poobie-
dniej; gwarzą sobie o ubiegłych czasach, a gdy się
oko łzą wspomnień zaprószy, westchną, poczę-
stują się wzajem tabaczką i znowu gawędzą. —

Młode matki zasiadłszy w kółko rozmawiają
o swych dzieciach, o ich rozumie zadziwiającym,
o postępie nadzwyczajnym w naukach, o koklu-
szu, szkrofułach i innych chorobach trapiących ich
tkliwe macierzyńskie serce. —

Młodziutkie mężatki bawią się z panami,
śmieją się przedwczorajszym dziewiczym uśmie-
chem, lecz gdy nagle przypomną że już weszły
za mąż że swą wolę mają, ściągają swe usta,

wsuwają się w głąb kanapy i — poważnieją. —

—— Mężczyźni stoją gruppami rozmawiają o przeróżnych przedmiotach; podżyli o gospodarstwie, o podatkach i o dawnych czasach; średnich lat ludzie o polowaniu, preferansie i złych czasach, młodzież o agronomji, machinach rolniczych i płodach autorskich. —

Uczony Stunde nie mięszał się do rozmowy, kręcił młynka palcami, popróbował fortepiano i usiadł w kąteczku. — Grono panien otoczyło mędrca prosząc o zagranie choćby jakiego walczyka. — Dał się Niemiec ubłagać, wyciągnął chude palce aż stawy trzasnęły i zagrał coś klassycznego włas-nej kompozycji. —

Wszystko w pokoju ucichło, staruszki nawet nadstawiły ucha. — Pani rotmistrzowa Bogucka która czas naznaczył siedmiu krzyży-kami, odwiązała czepek, wyjęła watę z uszu i słuchała pilnie. — Fortepijan tak się odzywał akuratnie jak tabakierka grająca; były akkorda przypominające siekanie kotletów, a Stunde jak tyczka od fasoli grał wyprostowany. Słuchacze ziewać zaczęli, rotmistrzowa włożyła watę do uszu, zawiązała wstążki od czepka i zapytała p. prezesowej: — Czy nie wie aśka co to gra ten kawaler?

—— Arcydzieło Liszt'a, odrzekła prezesowa. —

—— Aha, — to arcydzieło z którego nie mogę

nie zrozumieć. — Zmieniły się czasy, zmieniła się i muzyka, mówiła staruszka z żalem. —

— Pani rotmistrzowa wzdycha do Diusseck'a, odezwał się marszałek. —

— Lepiéj go pojmuję, wyraźniéj brzmiał mi w uszach; poproszę tego kawalera o sztukę z moich czasów. Podeszła rotmistrzowa do zadumanego Niemca prosząc o poloneza Ogińskiego. —

Sztunde nic nie odrzekł, wstał z krzesła, zwinął w trąbkę poły długiego fraka i posunął się zwolna. —

— Czy on głuchoniemy? zapytała rotmistrzowa pana Piotra. —

— Klassyczny to głupiec, odrzekł zapytany. —

— Klassyczny, — patrz asyndziéj; to więc i głupstwa można się wyuczyć; a przecież on edukuje dziatwę pp. prezesów. —

— Tak mościa dobrodziko, — zasusza mózgi ich córek. —

— Co asindziéj mówisz? Czyż mózgi to grzyby: przecież to dar boży co im świéższy tém lepszy. — Ale cyt, — znowu słychać muzykę. —

Bogusia usiadła za fortepiano, zagrała kilka harmonijnych akkordów, a później prosta i czysta jak myśl wielkiego mistrza odezwała się sonata Bethowen'a. — Płynęły tony jak wielkie spokojne wody, a szczere natchnienie grającej —

jak anioł harmonji, unosiła słuchaczy w piękniejsze światy. Z sonaty przepłynęła Bogusia do polonesa Ogińskiego, jak łódź z obcego morza przepływa w rodzinną rzekę. —

Rotmistrzowa znowu rozwiązała czepek, wyjęła watę z uszu, a świeży rumieniec wystąpił na twarz jej dawno zbladłą. — Bogusia nie doszła jeszcze do trio, a trzy pokolenia stanęły do polonesa co się raźno rozwijał po wszystkich pokojach. — Migały w zwierciadłach siwe, łyse i czubiaste głowy, odwieczne i przemodne stroje, świeże i pomiętoe twarze, lecz nie było chłodnych, nie było nikczemnych, tak rodzinny akkord wszystkich z sobą spokrewnił. —

Jeden tylko Stunde został w kątecziku, i samotny pająk usnutał o którym jak widać zapomniał służący. ———

Zaledwo przebrzmiał polonez, odezwał się mazur Nowakowskiego, a skoczne jego tony związały raźne koło ochoczej młodzieży.

——— Dalipan że to czarodziejka ta nasza Bogusia, mówił p. Piotr trzęsąc siwą czupryną. Nóg wstrzymać nie można choćby te nogi tyle wychodziły. ————

——— Tak, tak — mości dobrodzieju: rodzinna nuta i z grobu podniesie, odrzekła Stanisławska z głębokiem westchnieniem. Zażyjmy tabaczki panie

płutrze. — Obaj wściubili palce do tabakiery i obaj-
ga oczy mgła łzawa zaciągnęła. —

Po mazurze i wypoczynku, pp. marszałko-
wny śpiewały duetty włoskie. — Na każdo po-
ruszenie słuchaczy pilnie baczyła matka śpiewają-
cych, patrząc z pogardliwą litością na księdza wika-
rego grającego w warcaby z p. jeometrą, rzucając
groźnem okiem na p. Piotra — którego ziewanie
złapała w locie. —

—— Na parafji, rzekła marszałkowa do swe-
go sąsiada, nie umieją ocenić ani metody włoskiej,
ani nowożytnej muzyki. Będą się zachwycać
nad lada piosenką; ladajakie bazgrstwo podsłu-
chane przy [illegible] kądzieli wywoła u nas
oklaski, a muzyka klassyczna zagranicznych
mistrzów prześlicznie się koło uszu parafianów
wcale nieoceniona. —— Jak u nas jeszcze para-
fiji tęgej szanowny panie Ambroży? ——

—— Tak pani dobr: jest jeszcze u nas zbyt
wiele domorosłej parafijańszczyzny, lecz dzięki
Bogu coraz mniej matołectwa. — Co zaś do
muzyki inaczejbym sądził —— niźli pani dobr: —
Nie ujmuję wartości muzyce klassycznej za-
granicznych mistrzów, każdemu jednak, — milszą jest
rodzinna. —— Dla tegoż to i zagraniczna sta-
nęła tak wysoko że się poswajamy kształci-
ła i kształci. —

—— Słuchałam niераз piosnek ludowych lecz.

żadnéj z nich nie znajduję myśli i melodji. —

—— Aśćka nie smakuje w naszych piosenkach, odezwała się p. rotmistrzowa. Zapewne nie słyszała piosnki przy kolébce a toć przecie modlitwa kochającéj matki. ——

—— Tkliwe to bardzo ale spowszedniałe. —

—— Miłość macierzyńska nie powszednieje nigdy, a zatém i piosnka zawsze równie luba. —

Elżuniecko, — Bogusiu, — zaśpiewajcie co dla mnie; odpędźcie grabarza stojącego z motyką tuż przy mnie. ——

—— My nieumiemy uczenie śpiewać szanowna pani, odrzekła Elżusia. —

—— Zaśpiewajcie Skowronka, — to śliczna piosenka. ——

Uśmiechnęła się p. marszałkowa do swoich córek, a dziewczyny dogadzając żądaniom pani rotmistrzowéj zaśpiewały we dwa głosy:

„Wilijo strumieni naszych rodzico."

Taka nastała cisza: ks. Wiktory odtrącił dalekko warcabnicę; zdaje się słyszeć szum rytmiczny Wilji, widzieć piękną Litwinkę czerpiącą jéj wody, czuć woń narcyzów i tulipanów wśród których płynie rodzinna rzeka. ——

Pieśń ucichła a serca jeszcze brzmiały, nikt się nie odzywał, aż p. marszałkowa przerwała ciszę mówiąc do p. Szpijalskiéj: — Śliczne głosy mają

obie, gruchają naturalnie jak synogarliczki, lecz warto byłoby zająć się ich głosem. Żebyś pani Elżusię choć na rok powiozła za granicę tamby się ślicznie talent jéj rozwinął, a pobyt na wielkim świecie uzupełniłby edukacyję właściwéj jéj urodzeniu. —

— Dziękuję pani za radę choćiaż nie mogę z onéj korzystać. — Wiem że nazbyt wiele brakuje mojéj córce, lecz nadzieja w Bogu co dał jéj poczciwą duszę. —

— Pani niema jeszcze żadnych projektów wydania zamąż Bogusi: póki świeża trzeba korzystać, bo kwiaty zbyt rychło więdnieją. — Trzebaby wcześnie opatrzyć dla niéj męża: może jaki literat albo poeta z nią się pobierze, czy nie zważając na jéj pochodzenie. —

— Wyznam pani szczérze, — że nie umiałabym polować na męża. Opatrzność zajmie się sierotą, a ja dopomogę czém mogę. —

— Jeżeli pani dobrze tak się szczérze zajmuje losem sieroty, wtenczas p. sędzia Cirsza, radziłbym wywieść jéj choćby do Warszawy, bo w wielkiem mieście łatwiéj zamaskować jéj urodzenie. —

— Jakto zamaskować — i dla czego maskować? nie pojmuję tego. — Czy godność osobista nie uszlachetnia człowieka, czy tajenie prawdy należy do godności szlacheckiej? Pan sędzia żartuje sobie, bo im tło więcéj ceni swój klejnot

szlachecki, tem więcej prawdę świtować powinien. —

—— Tak, — tak, — tak być powinno, ale prze-
dy jeszcze istnieją. — Wreście, może Bogasia pod
szczęśliwą urodziła się gwiazdą? —

—— Wszystkie gwiazdy jeden Stwórca stworzył, ko-
chany sędzio, odezwał się p. Ambroży podnosząc
szklankę herbaty p. sędziemu. ——

Między młodzieżą różne były sądy o losie
Bogasi, — i różne komentarze odzywały się głośno: —

—— Cóż to za szkoda, mówił p. Edmund Pieczura,
że ona nie jest szlachcianką choćby zaściankowej.

—— Mógłbyś się z nią ożenić? zapytał ~~[illegible]~~ Al-
bert Łysko. ——

—— Dla czegoż nie? ale z chłopką niepodobna:
być szwagrem pastuszka, nazywać ciocią złotoszów-
ką, stryjaszkiem Kierdzia, c'est désolant. —

—— Ale śliczna dziewczyna zagadnął Jerzy
Drobinka. — Biedaczka cóżby się z nią stało żeby
p. Szpijalska do wsi ją oddała; musiałaby żąć
i bronować. ——

—— A może i mierzwę wozić? odezwał się p.
marszałek, mający dwie przestarzałe córki już na wydaniu. —

—— Mybyśmy za nią wozili, odezwała się mło-
dzież. ——

—— Brawo, — brawissimo! — ludzie ofiary, po-
wiedział prezes. — Co na to mówisz panie Izy-
dore? —

—— Co ja mówię chcesz pan wiedzieć? Ja pod inne-
mi rządzę prawami, ja z innego punktu patrzę

na kobietę — ten piękności wzór boży płonący w mej duszy.
Świat powszedni nie pojmuje ani kobiety ani wiesz-
cza, którego każda chwila jest burzą wydoskonalają-
cą całość jego. —

— A więc my pana nie pojmujemy? zapyta-
ło kilka głosów. —

Poeta potrząsł puklami blond włosów, spoj-
rzał na wszystkich z litością, zdrapował malowni-
czo fałdy swojego odzienia, i spuścił głowę jak
kłos przeciążony ~~ ~~ wilgocią. —

— Panie Zygdosze! Zbudź się z niebieskich
marzeń, zsuń się z Parnasu bez szwanku, okaż
widomym promieniem swoje ideały których nie
rozumiemy my powszedni ludzie, powiedział Lucijan
Struś. —

— Ideały moje są umalowane na kryszta-
le ducha mego. — Wy moi panowie zajęci zyskiem,
chlebem i ziemią, nie widzicie tego że wieszcz z sfer
podniebnych gotuje lekarstwo dla chorego świata. —

— Śliczna to apteka w sieniach wieszcza, ale
lekarstwa nie dajecie darmo, chociaż wam wiesz-
czom z nieba je zsyłają. — A nam zaś ma-
luczkim w trudzie chleb powszedni, a lekarstwo
w pracy, — rzekł Edward Łaski. —

— Dla wieszcza ziemia za niska a świat
za ciasny, bo fantazyja jego pragnie nieskończoności. —

— Złota i szampana, — odezwał się prezes
którego synek wierszopis lubił jedno i drugie, a
ojciec musiał opłacać fantazyję jego. —

— Nic łatwiejszego jak szydzić odparł p. Izydor, a przeczuć i przepłakać z poetą niema teraz komu bo suchoty ducha są powszechną ludzi chorobą. Świat się zamienił w regestrową księgę, merkantylizm zagłuszył głos serca, biada — biada — poezie!!! —

Wszyscy się uśmiechnęli słuchając tych narzekań patrząc na deklamatora zapijającego madeirą swoje jeremiady. Stanisław nie podzielał uśmiechu i nie mięszał się do rozmowy stojąc w oddali.

— O czém tak zadumany? zapytał p. Ambroży biorąc go za rękę. —

— Żal mnie człowieka co poetyczną szatę na tandet wystawił. Pod szyldem poety jak pod parasolem zjada cudze obiady i wychyla czary.

— Nie brak mu dowcipu — pewnego talentu — czczej deklamacji — i aksamitnych słówek które za natchnienia przedaje, a gmin przyklaskuje, ale gmin złocony lubiący lizitapków i kadzideł. —

— I właśnie to mnie boli szczerze panie Ambroży, że kokieteria słowa uchodzi u nas nieraz za natchnienie wieszcze. Każdy ołtarz ma swoją kadzielnicę a najbardziej dymią kapłani bez kapłaństwa poezji, chociaż u nas dzięki Bogu mniéj jak gdzieindziej tego skalania. Te słowa przerwał bolesny krzyk dziecka. Wszyscy wybiegli do drugiego pokoju przerażeni krzykiem. Władzio sześcioletni synek p.p. Morszatków stał krwią oblany. — Biegając koło stołu upadł jak długi i skronią do krwi uderzył o krawędź komody. —

P. marszałkowa zalała się łzami; marszałkówny zakryły oczy mówiąc z jękiem: ach krew — krew — my nie możemy patrzeć na rany, serce nam pęknie mamo!

Wszyscy przerażeni a nikt nie daje rady; gospodyni domu nie było w pokoju, Elżunia wyszła z gośćmi do ogrodu, jedna tylko Bogusia z domowych bez żadnych hałas'ów zajęła się czynnie dzieckiem, a niemając pod ręką czem krew zatamować, obróciła się do najbliżej stojącej podkomorzanki prosząc gestem o chustkę. —

Córki praktyczno-arytmetycznej mamy żałując widocznie batystowych chustek usunęły się nieznacznie do drugich pokojów.

Bogusia w tej chwili ściąga ze swych ramion batystową pelerynkę, rozdziera ją na szmaty, obwiązuje główkę skrwawioną i utula jęczące dziecię — Matka Władzia dziękuje czułemi słowy, siostry trzymając łezki na bijących swych sercach spazmują jeszcze, a podkomorzanki bardzo rade w duszy że ich chusteczki pozostały całe. — Strzesówny poszły do bliskiego lasku szukać ziół leczących które im przypomniał uczony Sztunde, a gdy powróciły z pękiem traw przeróżnych — nazywając je po łacinie, już chłopczyk utulił się na kolanach Bogusi i usnął spokojnie. —

Wszędzie i zawsze anioł, — pomyślał w duchu Stanisław patrząc na Bogusię. —

— Moje córki takie nerwowe, mówiła marszałkowa do p. sędzinej że na widok najmniejszej rany omdlewają biedaczki. — Bogusia to kozak dziewczyna niczego się nie lęka. —

— Nie dziw się pani temu, odrzekła sędzina: my inne mamy nerwy, inne uczucia, inną krew nawet, a ona, — chyba w czwartem pokoleniu wydelikatnieje. —

— I nieda przez oszczędność chusteczki, odezwał się p. Ambroży. —

— Panowie bierzecie zawsze stronę ładnej dziewczyny choćiażby nie wiedzieć z jakiej była klassy. Cóż to tak dziwnego że ranę dziecku opatrzyła i podarła pelerynkę dar p. Sofijalskiej, — a wreście rzecz do której nie bardzo jeszcze przywykła, rzekła p. sędzina. —

— I daj Boże żeby nie przywykła do miękkich ubiorów, powiedział Stanisław. —

— Coto za jegomość, zapytała marszałkowa p. sędzinę. —

— Stanisław Okrasa — poczciwy oryginał; osiadł sobie we wsi i guwernercuje. —

— Słyszałam od kogoś o tym filantropie; szlachta zaściankowa i chłopi polubili go bardzo, lecz niewiem czy na długo stanie mu cierpliwości żyć z tą chałastrą. — Zarabia widać na imię bo teraz to w modzie. Panowie pozbywają się pieczeniarzy i darmozjadów, — trzeba tedy zostać choćby missijonarzem ludu, bo cóż czynić z biedy! —

— Pan Okrasa nie z liczby tych ludzi, rzekła hrabina Bracicka podżyła już pani. Chociaż wiele przecierpiał nie udaje męczennika, nie wciska się tym tytułem w przedpokoje magnatów, lecz cicho zamieszkał u książęcej rodziny czując zacnem swem sercem najpilniejszą potrzebę oświecania ludu. —

— Już teraz mościa dobr. dodała rotmistrzowa znają się ludzie na fałszywych apostołach i drzwi zamykają przed próżniakami. — Za moich czasów, rezydent stawał się członkiem rodziny, a teraz bywa najczęściej oszczercą. — Nie można już dzisiaj przemarzyć życia o niebieskich migdałach, lub cudzym kosztem zjadać marcepany. —

— Pani rotmistrzowa pasowała się z wiekiem, zagadnęła z uśmiechem p. sędzina. —

— Nie z wiekiem ale z ludźmi, wierzaj mi asińdźka. — Już nic prawie nie czytam bo się troi w oczach; po miastach nie bywam, starość mi radość, grzebię się w moim dworku, ożywam tylko między młodémi, patrzę z lubością na dziatki, naczekuję dni lepszych, bo nadzieja i wiara mnie nie opuszczają. —

— Można zazdrościć tego że dla pani świat jeszcze młody i piękny, rzekła prezesowa. —

— A któż temu przeczy — tylko niedowiarki i skwaszeni ludzie. — Ja różne życia przeszłam koleje, rówieśnicy moi wszyscy prawie wymarli a dzieci w pączku życia wróciły do Boga.

Przetrwałam bole, straty zacnego męża, a coś ciągle szepce — że Bóg mej wiary probuje, że do czary ogólnych cierpień i kropla moich potrzebna. —

— Pani rotmistrzowa silnego jak widać zdrowia gdy tyle wytrzymać mogła, powiedziała sędzina.

— Dusza zdrowa podtrzymuje zbolałe ciało, odezwała się hrabina. —

— Aścka prawdę mówisz, odrzekła rotmistrzowa podnosząc się z krzesła, a chcąc świeżem powietrzem odetchnąć poszła do ogrodu. —

Wśród drzew rozlicznych i kłąbów kwiecistych bawiło się rozmową młode pokolenie. — Jedni siedzą na ławkach, inni stoją kupkami, a wszyscy zdają się bawić rozmową. —

Sentymentalne p. marszałkówny zapatrzają się w niebiosy, deklamują poezyje zwietrzałe Lamartin'a. — P. Grydor wzdycha słuchając, wtóry omdlałem okiem po chmurach i kwiatach, a po skończonej tkliwej deklamacji pyta od niechcenia pana jometrę czy marszałkówny posażne. —

P. prezesówny uproszone przez p. Grydora świergocą poważnie jakąś balladę niemiecką, a p. Sztunde przerywa deklamacyję podpowiadając bez niemieckiego przycisku wymówione słowa. —

Proszono i poetę o własne jego natchnienia. Wzbiła pierś jego: — coś przypominał, szukał w niebiosach, — nareszcie natchnął liść swego dumba i wydeklamował prześliczne poezyje nigdzie dotąd jeszcze nie drukowane. —

— To państwie natchnienia? pytano z zachwytem.

Potwierdził wymownym gestem i położył swą rękę na sercu. —

— Prześliczne! mówiono wokoło, tylko Elżusia milczała wiedząc czyje to wiersze, ~~[illegible]~~ mając je przepisane przez przyjaciółkę co jéj z zagranicy przywiozła. — Dziewczę wstydząc się za uzurpatora cudzéj myśli, ~~[illegible]~~ pobiegła w głąb ogrodu gdzie zastała p. rotmistrzową przechadzającą się z p. Stanisławem po lipowéj alei. —

Wysmukła postać dziewczęcia migała zza zielonych liściastych firanek, a duże niebieskie oczy słuchały z zajęciem rozmowy Stanisława. Opowiadał on rotmistrzowéj o dalekiéj stronie w któréj lat tyle przeżył, a łzy jak wielkie perły toczyły się po jagodach Elżusi. Otarła je naprędce puklem ciemnych włosów i znowu słuchała i ~~[illegible]~~ rękę rotmistrzowéj wielokrotnie ucałowała, rękę co pobłogosławiła Stanisława przy końcu opowieści. —

Ciesz się ziemio i raduj bo masz pośredników co cię łączą z niebem! Masz wielkie serca i drogie wspomnienia których umarli nie zabrali z sobą, a nikczemnicy nie zatruli jadem! — Masz archanioła stróża co nad twojémi grobami i kolebkami czuwa nieustannie!!!

§ VI.

Szpak zazdrościł Łabędziowi
Czemu piękny — czysty — biały.
Łabędź mówił tak szpakowi:
Nie w tém wina żeś ty mały,
Ile uczony, zewnątrz szary,
Że nie kąpiesz skrzydeł w falach;
Lecz że czernisz boże dary
Na zazdrości ważąc szalach. —

Miło i wesoło przeszły imieniny p. Szpijalskiéj. Nad wieczór bliżsi goście pojechali do domu, a dalsi zostali na noc. — Staruszkowie rozlokowali się na miękkich pościelach, solenizantka takoż poszła do spoczynku, panny tylko jeszcze nie śpiąc, nie wadząc śpiącym, gdyż ich pokój w skrzydle budynku a okna wychodzą na ogród i ogromne jezioro. —

W obszernéj sali kilkanaście panien pląsa jak króliki w białych fałdzistych szlafroczkach, które zastąpiły strój imieninowy. Śmieją się dziewczątka, śpiewają, w koło się kręcą, nie widać na ich twarzy znużenia, nie pogasły ich złociste źrenice, świécą jak gwiazdki na błękicie niebios. — Włos rozrzucony pływa po ramionach, jedna go splata w szerokie kosy, inna zwija w pierścienie, bo jutro znowu tańce i szczera wesołość. —

Najpoważniejszą z dziewczęcego grona była Bogusia: czy w tańcu czy w rozmowie, — czy w dobrym uczynku przewodzi niezmiennie. — Chcąc niechcąc wszystkie idą za nią, choć nieraz przyszło na myśl szlachciankom, że Bogusia chłópka wychowana chlebem litości, lecz się nie mogą oprzeć niewidoméj sile którą daje duch święty czuwający nad nią. —

Napląsawszy się do woli zachciało się dziewczątkom pójść do ogrodu. —

— Tak ciemno, mówiła Emma, może jaki rozbójnik wyskoczy z zadrzewia i nas pozabija. —

— Czego się lękasz, odrzekła Władzia, wszak Bogusia z nami. —

— Idźmy — idźmy, — odezwały się głosy, idźmy nad jezioro zanieśmy harfę. —

Odważne i tchórzliwe wzięły się za ręce, Bogusia z Elzią poniosły harfę. Jak stado białych

łabędzi popłynęły dziewice po ciemnych ołach.

—— Ten coby nas teraz widział coby też pomyślał ciekawa jestem, mówiła Anna. —

—— Pomyślałby że pielgrzymki idą do Ziemi świętej, lub że wyprawa Krzyżowców, odrzekła Kasia —— mówiąc te słowa:

„ Zawsze komtury do stolicy śpieszą,
„ Kędy zebrani w kapituły gronie,
„ Wezwawszy Ducha świętego uradzą
„ Na czyich piersiach wielki krzyż zawieszą,
„ Jw czyje ręce wielki miecz oddadzą....

—— Nie nam Kasiu miecz trzymać; śliczni to krzyżowce w sukniach i szalach. - a nam biednym siedzieć w domu kur i gęsi pilnować, mówiła ciężko wzdychając Władzia. —

—— Mężczyznom sława i wielkość, — a nam klatka i igła, dodała Anna. —

—— Nie narzekajmy na losy nasze, odrzekła Bogusia: ręczemy pod strażą anioła ofiary i miłosierdzia, a my piastunkami kolebek w których złożone ziarna prawdy i wielkości. —

—— Jabym wolała urodzić się mężczyzną — bo miałabym wówczas prawo ubiegać się o sławy, odezwała się Emma. —

—— Wszak matkę bohatera (synowska) opromienia cnota, powiedziała Elzia. — Gałązka lauru wyrasta z pod jej serca, a później się rozwielenia na skroni jej dziecka. — Na co nie spójrzym spoczywa

myśl boża potrącona myśli człowieczej jeśli jej nie krzywią osobiste cele. —

— Świat, moja Elziu, inaczej sądzi; nasza rola zawsze podrzędna, bo czy orlica czy sroka w klatce żyć musi, rzekła Helena. —

— Biada człowiekowi co ołtarz swego szczęścia w klatce umieścił, lecz biada i ptaszynie co nad siły kamień dźwignąć zapragnęła, a opuszcza ziarna obok niej leżące. — Jeśli mniej jednym aniołem w niebie nie Bóg temu winien, lecz anioł co się wyparł(?) zmienił. —

— Ja nie narzekam, moja Boguziu, lecz droga nasza wązka i ciernista, rzekła Emma. —

— Bo myśmy drogę zasłaniany różami nie pomnąc że mają ciernie, i dokąd ona prowadzi nie pytamy oto — byle na dzisiaj była dla nas różową. Wówczas, gdy z pod róży cierń ukole, z pod błyskotek piorun strzeli, toniemy we łzach obwiniając losy. — Siły duchowej więcej nam potrzeba, a droga nasza wyda się nam piękną. —

Słowa Boguzi brzmiały w cieniach nocy, mgła kwietniowa przedświtowa opuszcza się na ziemię, a dziewczątka stoją trzymając się za ręce jak białe chmurki na ziemię upadłe. —

Tuż opodal krzaków jawor olbrzymi strzaskany piorunem co przybrał w cieniach nocy kształty ołtarza. Bliski wschód słońca zaczyna niebo różowić, droga mleczna jak gaza rozstała

się po niebiosach, szafir ich ciemny światłeje, sło-
ca się zwolna liście na drzewach, faluje i opry-
skuje się pianą cichej dotąd jezioro, spokój po-
ważnej nocy ustępuje wesołej i rumianej zorzy.

— Wschód — wschód, — Słońce! — zawołały dziewice, wyciągając swe dłonie do bożego posłańca. — Wszystko śpiewa hymn poranny, nieprzeliczone światki budzą się ze snu, rosa obmywa z pyłu trawki i kwiaty, słońce ogrzewa skrzydełka ochłodłe ptaszęt, a jak kto umie chwali swego Stwórcę. —

Dziewczątka zachwycone usiadły na murawie, Bogusia brzdąknęła po strunach harfy, a wszystkie ~~[illegible]~~ zaśpiewały chórem:

„Kiedy ranne wstają zorze”

Głosy dziewczęce zlały się z głosem ptaków, wtórowało im jezioro falujące z lekka, dzwonek bliskiej kaplicy głosił o Anioł Pański, wokoło życie choć ludzi nie widać. — Otworzyły swe kielichy wonne białe lilije — jak srebrne kadzielnice z których zapach płynie; wspaniałe georginy stały w promieniach jak rozsiane słońca. Wszystko się obróciło na wschód, do tej kolebki — której zioła były posłaniem dzieciny Wielkiego Boga, a ziemia Jej grobem — i zmartwychwstaniem. —

Pieśń poranna umilkła, krople nocnej rosy już zaczynają osychać na dziewczęcych włosach;

wracają już wszystkie do domu w którym śpią jeszcze wszy-
scy. Na dziedzińcu nie widać żywej duszy, tylko
krzykliwe pawie suszą swe skrzydła na słoń-
cu, — przechadza się wolniutko krokiem poważny żóraw
i boczną furtką wsuwa się do ogrodu kobieta z
dzieckiem na ręku. — Z ubioru widać że jest
żebraczką, słania się idąc zwolna, a cała jej
postać jakby nieprzytomna. — Dziecinka obrzu-
cona płachtą patrzy ciekawie na wszystkie
strony i chwyta rączką kwiaty. Kobieta idzie
nad jezioro, usiada nad brzegiem i karmi pier-
sią niemowlę. — Panienki były już na gan-
ku, gdy nagle krzyk przeraźliwy rozległ się w
ogrodzie. —

— Jezus — Maryja! krzyknęły, — stanęły
jak wryte. —

— Krzyk nad jeziorem, rzekła Bogusia, —
i puściła się jak strzała ogrodową ulicą. — El-
żusia też za Bogusią, a w minut parę już
wszystkie były nad jeziorem. —

Kobieta w konwulsjach leży nad sa-
mym brzegiem, dziecię wyślizgnęło się z jej ramion ~~[illegible]~~
~~[illegible]~~ i wpadło do wody. To się pokaże — to
znowu zniknie wśród fal, łachmany wzdęte wo-
dą, na wierzch je wynoszą. —

Bogusia z Elżusią rzuciły się do jeziora,
a reszta panienek krzyczy załamując ręce. Już dopływa-
ją — i z krzykiem radości chwytają dziecię może

już umarłe. —

Wypłynąwszy na brzeg, kładą niemówlę na miękkiéj trawie, okrywają je szalem, chuchają i ogrzewają skostniałe. Dziecię po chwilach kilku westchnęło, serduszko już bije, rumieniec występuje na struchlałe liczko. —

Żyje! – żyje! – wołały radośnie dziewczątka, a teraz matkę trzeba ratować. —
W kobiétę jakby zły duch wstąpił tak się kurczy i pieni; strach ogarnął patrzące. Elżusia pobiegła obudzić matkę, Bogusia została przy bezprzytomnéj, Stefcia poniosła dziecię napoić ciepłém mlekiem, każda czémś służyła mając na twarzy wyraz zwalczony litością. —

Przysłali dworscy ludzie, zanieśli chorą na folwark, Bogusia wbiegła do swego pokoju i upadła na kolana przed Matką-Boską. —

P. Szpijalska całuje córkę dziękując Bogu za poczciwe jéj serce. —

—— Ach moja mamo, — coto za radość w porę przyjść bliźniemu! ——

—— Moja córko! — nie cofaj się nigdy przed żadną ofiarą bo każda przynosi radość dla serca i siłę dla ducha. ——

Kobiétą ubogą była włościanka ze wsi sąsiedzkiéj cierpiąca na epilepsyję. Dziecinki swojéj nikomu zanic nie chciała powierzyć nosząc ję zawsze z sobą. — Gdzie po wsparcie do dobrych

ludzi [redacted] blizko dworu poczuła słabość, weszła do ogrodu, trafiła nad jezioro – gdzie ją zachwycił paroxyzm i wytrącił z rąk dziecię. –

Na obiad zjechało się dużo gości [redacted] a mówiona tylko o szczęśliwem nieszczęściu. Panienki przybyłe już po ~~[redacted]~~ wypadku nie mają w nim najmniejszego udziału, chwaliły półgębkiem postępek dwojga dziewcząt. –

P. Izydor obiecał napisać rozległy poemat i dedykować ony bohaterkom [redacted] zdarzenia. –

Mamunie zazdrośnych córek podziwiały odwagę Elżusi – milcząc o Bogusi, jako o podrzędniej wszędzie istocie. –

— Kozak to dziewczyna, mówiła marszałkowa do swoich sąsiadek. —

— Jak łabędź musiała płynąć po falach jeziora, odezwał się p. Artur. —

— Zazdroszczą szare szpaki białemu łabędziowi, mówili bezstronni ludzie. —

— Nie winne temu że szare i nie okazałe, lecz że zazdroszczą wyższości, powiedział p. Ambroży.

Każdy sądził jak umiał i jak z grzeczności wypadło, lecz każdy poczuł szlachetność czynu.

Po obiedzie Elżusia z Bogusią wymknęły się na folwark chcąc zobaczyć chorą i jej dziecię.

Zastały dziecię zupełnie zdrowe a matkę leżącą jeszcze zmożoną chorobą. – Pilnował ją Andrzej Biblis dziadek stryjeczny Bogusi, stróż dwornej pasieki od lat dwudziestu kilku –

— Jak się ma dziadunio? zapytała czulejże zę-
kę staruszka. —

— Ach — żyję sobie siako-tako: przyszedłem
do dworu po ordynaryję, a nim przyjdzie ochmi-
strzyni z obory, popilnuję chorą Janowę co leży
jak kołano niebogi. —

— Dziadunio ją dawno zna? —

— A Bóg się Pana Boga! jakże nie dawno? —
Ona z wioski p. majora, od tego Niemca co tu jak
piąte do wozu koło — wścibił się do nas. Mężanie-
boraczki zdali w rekruty, otóż z alteracji dosta-
ła biedna ciężkiej chorobki. — Boże odpuść, zgu-
bili człowieka a nie było zaco — Ekonom na
pańszczyźnie wyściubał bez przyczyny Janka,
zagotowała się krew w chłopcu, świsnął w pałka
i cisnął, — w lampę ekonomską. Skatował
Niemiec biednego Janka, i cap-tap, chwycili ra-
niuteńko rąbiącego drewa do chaty. —

— Biedaczek — ach biedaczek! — powiedziały
obie wzdychając. —

— Otóż widzicie dziatki jakie to biedy na
świecie. Przed tygodniem Bóg dał im syna, a
we wtorek o świcie Janek poszedł do gaju. Do-
rota kołysała chłopca, już słonko podniosło się
wysoko a męża jak niema tak niema. — Patrzy przez
okienko Dorota, śniadanie już gotowe, Janeczka
nie widać, tylko jakieś głosy dochodzą zdaleka —
Nadstawiła uszy jak zając poznawszy głos
męża. — Wyskoczyła na podwórko — i zoczyła

Janka związanego jak złodzieja. Ekonom Łotysz je-
chał konno i popędzał nieboraka bizunem, bie-
dzi za nim cała gromada a Janek z daleka krzy-
knął: — Dorotko mnie wzięli w rekruty — bądź
zdrowa! — bodaj zdrowo Jabruka! —

Niebogą zbladła jak chusta, krzyknęła i padła
na ziemię — a zaczęła się kurczyć i pienić jakby
opętana. — Od tego czasu chodzi jak nieżywa,
sama nie wie co gada a niebożątko hoduje biedą
i łzami. — Na chacie osadził Niemiec jakie-
goś szołdrę lutra, a ona nigdzie sobie miejsca
znaleźć nie może choć ma i swojactwo tutaj. —

Czeka zawsze kogoś, patrzy, słucha woła na
swego Janka i chodzi gdzie oczy niosą. —

Płynęły łzy strumieniem po twarzy Bogu-
si i Elzi a starzec mówił dalej: — Tak moje ry-
benki, ciężko choremu na świecie, ma co Bogu
ofiarować, a ten szołdra co zgubił Janka w smo-
le po uszy będzie. — Oj grzech i swawola dzie-
dzicom co ojcowską ziemię zapaskudzili cu-
dzemi. — No, ale tymczasem, trzeba mnie iść do
chaty, mam około pszczół robotę. Do zoba-
czyska moje kwiatuszki śliczne! —

— Ja dziadunia odprowadzę, Elżusia po-
wie mamie że razem z dziadkiem poszłam a na
wieczerzę powrócę. —

Elżusia pobiegła do pałacu a Bogusia po-
szła z dziadunią do bliskiej pasieki. —

Na zielonem wzgórzu porosłem dziewanną i dzięcieliną, rozlokowało się zwygodnie kilkadziesiąt ulów. — Gruppa dzikich jabłoni zasłania pszczółki od północnych wiatrów; od wschodu, krzaki dzikiéj róży rumienią latem wzgórek; od południa, łany dworméj pszenicy kłaniają się pagórkowi; a od zachodu, bukiet kaliny perfumuje powietrze. — Mała schludna chateczka stoi na straży pszczółek; mieszka w niéj Andrzej Biblis sam samiuteńki. Nikogo wokoło, tylko dwie wydeptane ścieżki, jedna do dworu, — druga do gaju. —

Otóż tą ścieżką wijącą się koło płotu, szedł dziadek ze swą wnuczką; on w trzymie ubrany, a ona w różowéj muślinowéj sukni. On zoranem latami obliczem, a ona świeża jak wiosna, gładka jak bursztyn, lecz w obu twarzach jest pokrewieństwo rysów i wyrazu. Dziadek jest to kwiat zasuszony czasem, a wnuczka pączek w rozkwicie. —

—— Jak tu ładnie, jak miło oddychać, ale czy dziaduniowi nie nudno żyć tak samotnie? spytała Bogusia. —

—— Nie, moje dziecko: — ja nie sam tu żyję. Pszczółki, ptaszki, zające, czy to nie sąsiedzi? Złośnica sikoreczka siądzie na kalinie, nakrzyczy i nagada tyle że jest co posłuchać. Jak przyleci gilica wołając na swego gila tak

czasem żałośnie _ że aż żal bierze niebogi. A psotni-ki wróble tak naplotą, nahałasują, że i złość czasa-mi _ chce się spłoszyć hultajów. O świcie także tu w gaju gadanie, że na cały dzień wesoło, lepiej jak z jakiemi ludźmi. — Przyjdź tu moja dziew-czyno na jaki tydzień a zobaczysz co ja mam są-siadów i co różnych gości. —

—— Chwała Bogu że dziaduniowi tutaj wesoło.

—— I jak jeszcze, moja rybko: — gdy posypię wieczorkiem owsa na przyzbę, rano zajączek, skik-skik, tańczy koło ziarna, ogląda się tchórz czy kto nie nadchodzi, i chrum — chrum — gryzie sobie owsik, a ja patrzę przez okienko, żal zabijać nie-boraczków, niechaj sobie żyją. — Czasem w je-sieni przesunie się zwolna kudłate wilczysko, oczy jego błyszczą jak gorące świece, i pójdzie sobie dalej zmiarkowawszy że nie dla niego u mnie gościna.

—— Wszakże dziaduniu nie zawsze tutaj mieszkał?

—— Miało mnie nosić po różnych stronach. Od maleńkości chciało się wędrować, a ojciec, jak już trochę odrosłem od ziemi, kazał paść trzodę i pil-nować szkody. — Mnie chciało się iść dalej, tam gdzieś za słońcem, a tu trzeba mieć na oku trzodę bo strach był ojca, tęgo chwostał za szkody. —

Myślę sobie bywało: — czy ja pies przykuty, że nie mam swojej woli ani na szeląg, nie mogę pójść w świat daleki. —

—— Dziaduniu nie kochał widać rodzinnej chaty że chciał iść gdzieindziej. ——

— Jakżeż nie kochać, — cóż ty mówisz dziewczyno? Lecz jeśli tak dał Pan Bóg, że świeciło się w świat płynęć jako słonko, a człowiek bez woli jak zdeptana trawa.

Jednego dnia myślę sobie: pójdę do pana padnę do nóg i poproszę niech mię w świat puści. —

Wstawszy raniuteńko poszłem do dworu: pan siedział sobie pod lipą i mówił koronkę, bokiem drzewa przez liście słonko przygrzewało a pan nie widział że ja tuż przy nim stoję. — Zakaszlałem, — dałem znać że jest ktoś. — Kto tam? zapytał pan. — Ja Andrzek wielmożny panie. — Czego chcesz błaźnie? zapytał pan. [redacted] Aż mnie ściemniało w oczach taki strach ogarnął, lecz poszłem na jedno, bo i tak źle i tak nie dobrze. — Czego chcesz pastuchu? znowu pan zapytał. — Wyzwolnić się na rok i pójść szukać losu. — Poczekaj smarkaczu, [redacted] ja tobie dam los. — ha, smok pastucha, chce się tobie na wierzbie gruszek. — Panie Niedzielski! — zawołał pan tak głośno że aż się zatrzęsły liście na lipie.

Jak grzyb z ziemi po deszczu wyrósł nagle ekonom — pytając co jasny pan rozkaże?

Wypisał waszeć Andrzeczkowi trzydzieści odliczanych. — Ja w nogi — ekonom za mną — i dogonił bezdusznik, a nie zmówiłem jeszcze pacierza, już mi wsypał trzydziestkę. — Wyszedłem ze wstydu ziemią i nie wróciłem więcej do chaty. — Jak posnęli wszyscy, ściemniało zupełnie

[illegible] na dworze, skradłem się do domu, pocało-
wałem ściany ojcowskiej chaty, — popłakałem po-
cicha, — wygarnąłem z pod progu garnść ziemi do
chusty i poszedłem sobie gdzie oczy poniosą. —

—— Musiało dziaduniowi mocno serce boleć roz-
stając się z rodzinną strzechą? —

—— O i bardzo bolało, ale cóż poradzić? Ekonom
z bizunem stał ciągle w oczach, a raz mojej skó-
ry pokosztowawszy, możeby i codzień chciał ją
nakarbować. Kogo Bóg stworzył tego nie umo-
rzył, myślałem sobie, a byle zęby to i chléb bę-
dzie. Popłakałem patrząc na chatę — i posze-
dłem prosto przez lasek mówiąc pacierze.

—— Dziadunio poszedł bez kawałka chleba? —

—— Miałem w chuście grzywnę i kawał
spory razowika, a idąc sobie za słońcem tra-
fiłem aż za Niemen i wpadłem jak do wody.
Gdzie zaszedłem do chaty tam mnie nakar-
mili a ja im zato to drew narąbałem, to w
polu dopomogłem, i tak idąc z wypoczyn-
kiem w rok zaszedłem aż do Warszawy. —

—— Jakie to śliczne być musi miasto? —

—— Jak las wielkie, moja rybko, — het,
gdzie większe od Wilna i Rygi. Ty nie
wiesz dziewczyno co ja czułem zostawszy
o swojej woli! — Szedłem jak wiatr gdzie
dusza chciała, — gdzie nogi niosły. —

—— Czy Wisła piękniejsza od Wilji?

—— Gdzie tam piękniejsza, choć prawdę

mówiąc daleko szérsza, lecz woda mętnawa, a w naszéj Wilji — rodzinny znaczek jak w lustrze zobaczysz. —

—— Jakże dziadunio doradził sobie w nieznajoméem mieście bez grosza i znajomych? —

—— Od czegoż Opatrzność i praca? Z początku trudno nieco było i tak jakoś tęskno do chaty że miejsca sobie znaleść nie mogłem; lecz jak stanie w oczach ekonom z bizunem a przyjdzie na myśl gniew pana, serce zaraz na miejsce odejdzie chociaż żal ojca. — Matka odumarła dawno, ciotka Michałowa daj Boże jéj Nieba, wykarmiła kaszą, chociaż prawdę mówiąc było głodu i chłodu, płakałem nieraz leżąc na piecu a matula prawie conoc przychodziła do mnie przeżegnać krzyżem świętym. —

—— Czy po śmierci przychodziła, — co dziadunio mówi, — jak to być może? ——

—— Nie wierzysz temu dziewczyno że matka nawiedza swoje sieroty? — My póki żywi modlimy się za dusze zmarłe a duszeczki szczęśliwe o nas nie zapominają. Lecz oto co innego zacząłem mówić, mięsza się w staréj głowie: ni pójdź ni daj, gawędzę. —

—— Cóż daléj dziaduniu było w Warszawie?

—— Pierwszego tygodnia przejadłem grosz zapracowany, ale swobodny, jak jakie panisko chodziłem sobie po mieście gawroniąc na wszystkie strony. — Wyszedłem z domu w nowéj siermiędze nawleczonéj tryniczą a szanując w drodze odzienie czyste i całe było. — Wpadłszy za Niemen niedaleko Kowna, nająłem się u

jednego pana wozić żwir do ogrodu: i zapłacił i dał jeszcze gościńca, niech mu Bóg nagrodzi. Majątek tego pana nazywał się Szaltupie a niewiadomo czy żyje jeszcze dziedzic: daj Boże jemu niebo i na tym i na tamtym świecie.

— Nie żyje już dziaduniu, lecz wiem z pewnością, że ten co tam zamieszkał po jego śmierci równie jest zacnym i gościnnym i również kochanym od swoich sąsiadów. —

— No chwała Bogu, niech Bóg mu dopomaga jak i dzieciom jego. — Otóż moje dziecko, nie bez kęsa chleba chodziłem po mieście, nie mogę się nadziwić że ludzi jak mrówek; w kramach czego dusza zapragnie, możeby kupić można i ptasiego mleka panom za złoto. — Miny mazurów tęgie, do trzeciego nie gadaj, a jak wsparcia poprosisz, podzielą się chętnie ostatnim kęsem chleba i przytulą do serca. —

— Któż u nas bez serca, kochany dziaduniu. —

— Różni bywają ludzie, moja rybeńko, a już wolę kamień jak człeka bez serca. — Otóż — w niedzielę, pamiętam jak dzisiaj, opatrzywszy się koło siebie, wysmarowawszy kęsem słoniny włosy i buty, tak jakoś politycznie poszłem do kościoła. Płynęli ludzie jak woda, przedemną szedł jakiś mościpan porządnie odziany; już zaraz i kościół, przyśpieszyłem kroku, aż ni stąd ni zowąd, ten mościpan postronił się i biedny upadł jak długi.

— Cóż to dziaduniu, czy zemdlał? —

— Ja do niego, — dawaj podejmować, a on blady jak wapno — ani palcem nie kiwnął; oczy miał zapadłe, leżał jak drzewo ścięte. — Nie długo czekając rozepchnąłem ludzi, zarzuciłem jak barana na plecy tego mościpana i wniosłem do jakiegoś domu szukając ratunku. Poczciwi jacyś ludzie położyli biedaka na łóżku a jak zaczęli pryskać na twarz wodą, ocierać octem, skrobać pod podeszwy, otworzył nieborak oczy. — Ludzi jak nabiło w izbie a niektórzy pytali: — co się tobie stało panie Józefie? Zawaliłem się jak pijana baba, odrzekł ten p. Józef, chociaż na czczo wyszedłem z domu, na ulicy zrobiło się w oczach żółto, zielono, czerwono, w uszach jak na dzwonicy szumiało i niepamiętam co już dalej było. —

— Kto ten łaskawca co mnie tutaj przyniósł? zapytał p. Józef powstając z łóżka. —

— Ja mój jegomość, — wyrwałem się ze słowem jak Filip z konopi. — Bóg zapłać kochaneczku, czy nie poderwałeś się niosąc? — Ja poniosę trzy barany na plecach i pewno się nie poderwę. — Tęgi z waszeci chłopak, — a skądeś rodem? zapytał. Ja sobie z Litwy, — ze wsi Dziubiszek, odrzekłem. — Co tu porabiasz chłopcze? zapytał znowu. — Jeszcze nie mój jegomość, chodzę sobie po mieście, a jak żurawie leciały na wiosnę i ja poszedłem w świat. — Może u mnie zostaniesz, jam szewc z profesji, nauczę ciebie rzemiosła. — Z ochotą zostanę, bo serce moje już przylgnęło do jegomości. —

— Któż to był ten p. Józef, kochany dziaduniu!

— Był to szewc sobie ale wielki człowiek, a toż obraz jego jest u naszej pani. —

— Wiem — wiem dziaduniu, — i któż o nim nie wie, — kto go nie kocha?! —

— Otóż moja dusso, zostałem u niego, a jak słońce opiekuje się trawką, tak się on mną opiekował — chociaż byłem jeszcze i błazen i dureń. — Żyłem u niego jak brzoza w gaju, nauczyłem się szyć buty, byłem razem na wojnie, piliśmy razem i słodkie i gorzkie, wołali razem do Matki Boskiej, a choć teraz Andrzej i groszka złamanego nie wart z pszczółkami wojuje tylko, był czas że i z Andrzeja był jakiś pożytek, nie darmo jadł kaszę. —

— Jakże dziadunio wrócił w swoje strony i rozstał się z p. Józefem?

— Bóg zaprowadził, Bóg i odprowadził. Po kilku latach różnego życia rozstęskniłem się strasznie do domu: — z początku rano i wieczór całowałem ziemię zagarniętą z pod progu ojcowskiej chaty, a potem całowałem po dziesięć razy na dzień, — a potem od ust oderwać nie mogłem. — Myślę żywato — pójdę do domu bo zeschnę jak trawa z tęsknoty. I poszedłem, bo już nie było rady — tak zapachnęła rodzinna strona. —

— Jakże był musiał rad dziadunio wróciwszy do domu? —

— Ojca już nie znalazłem, leżał od roku w mogile: [illegible] w chacie mieszkała twoja matka a córka

mojej siostry nieboszczki. Stary pan już nie żył, dawny ekonom osiadł na własnej fortunie, a młody pan dobrego widać był serca — bo zawołał mnie do dworu, powiększył trochę i kazał spokojnie siedzieć w chałupie. — We wsi nie wiele co się odmieniło: na starych dachach więcej mchu narosło, kilku gospodarzy dawniejszych umarło, kilka nowych przybyło krzyżów, kamienie były te same na drodze, i [redacted] gorzej było na świecie. — Ciebie dziewczyno jeszcze nie było — bo te dawne czasy.

— Dziadunio znowu wziął się do pługa? —

— Nie mogłem już ciężko pracować, miałem rany na ręku i teraz jeszcze bolą na niepogodę. Szyłem z biedy buty a dla ekonomówien trzewiki modą warszawską z glansowanej skórki. Prawda że ekonom nie płacił za robotę, ale przynajmniej skóra była cała, choć był passijonat. Jak bywało to zakrzyczy.. to aż mu zadrży czupryna wysoka jak konopie, a wąsy się kiwają — jak ogon wiewiórki. Niech mu Bóg nie pamięta [redacted] co ~~to był~~ za złośnik. —

— Dziadunio chwalił młodego pana, na cóż on pozwalał na takie nadużycie. —

— Był to cichy człowiek zaprzedzony przez żonę, bo jakaś to była ladaco kobieta! Liczyła każdy kęsek chleba, dawała opleśniały chleb dla ubogich, zdechlinę na porcije dla czeladzi, a jeśli kto jadł smacznie we własnym domu, zazdrościła że z gęby wyrwać ~~mu~~ kęsa nie może. —

— Nie musiała to być kobieta naszego kraju, bo

gdzież są u nas takie stąpicielki?

— Są i u nas, moja rybko, ale o niéj mówili ludzie że heretyczka, bo coś i prawda — cudzém trzęsła baba. Pan się jéj słuchał jak myszka kota: i jak ona kogo skrzywdzi, on ukradkiem wynagrodzi. — Oj bieda tam wielka gdzie głowa domu chodzi w czepcu a nogi w czapce, tam ani ładu ani sprawiedliwości za grosz. —

— Nie miał widać ten pan ani rozumu ani woli — chociaż miał dobre serce? —

— Moje dziecko, ty nie wiész co może zła kobieta: gdzie dyjabeł nie nic zrobi — tam mu baba pomoże.

— Może dla tego dziadunio dotąd się nie ożenił?

— Nie dla tego, moja duszo: jak moja Marysia odumarła na tydzień przed naszym weselem, nie chciałem drugiéj szukać — bobym takiéj nie znalazł. — <u>Swatała się</u> mnie jedna bogata wdowa z gotowizną i chudobą, ależ gdzież jéj tam do mojéj Marysi? — Ojciec nieboszczyk był pasiecznikiem, mieszkali w chatce w któréj ja teraz mieszkam. Nasza teraźniejsza pani chciała mnie dać lepsze miejsce we dworze, bo umiem czytać a obiedy i pisać <u>letkim charakterem</u>, ale wyprosiłem u pani miejsce pasiecznika — bo mnie najlepiéj tam gdzie moja Marysia żyła i odumarła. —

— Czy dziadunio wróciwszy z Warszawy ciągle w domu siedział? —

— Nie, moja rybeńko: przed Wielkanocą pojechałem znowu w drogę — Na Zielone Świątki byłem aż pod

Wilnem. — i tam zaniemogłem... Od tego czasu straciłem zdrowie, okulałem na nogę, byłem długo chory, i wybacz Panie Boże! co nie spisowałem z alteracji.

—— A wiara i Bóg dziaduniu czy nie dają siły? ——

—— Tak i ks. Józef kiedyś mnie mówił, tak i ty mówisz dziewczyno, — tak i Bóg mówi w duszy. — Zasiadłem już na zawsze tu kątku, dawny pan przedał majątek teraźniejszej pani co ciebie wychodowała jak własne dziecko. — Po Bożej-Matce najwięcej powinnaś kochać twoją opiekunkę, która tego nie zrobi z łaską — co jakaś tam wielka pani zrobiła wziąwszy na opiekę z wioski dziewczynę. Wychodowała na panienkę, a gdy panicz olepił w niej oczy, wydała gwałtem za mąż za parobka i osadziła w wiosce-tem. Za mąż za parobka i osadziła w wiosce. Nasza tego nie przyjmi nawet, bo i sam taki za głos by miała. — A teraz moja duszo wracaj do domu bo już nie rano, a drugą porą wolnym czasem, przypomnę więcej szczerzej i opowiem tobie czego już pamięć nie bardzo dopisuje, — czas Andrzejowi iść do alteracji. —

—— Bądź zdrów dziaduniu, — jeszcze pobędziesz z nami, da Pan Bóg zdrowia, a jeśli pójdziesz do wioski powiedz dziaduniu dziewczętom niech przychodzą po jutrze do dworu, bo już gdzie się rozjadą, czas wziąść się do książki i do roboty. —

—— Dobrze — dobrze, moja rybko — idź z Panami

bliższa droga, — z Panem Bogiem moje dziecko!

Bogasia uścisnąwszy dziadunia poszła do domu, cień długi szedł za nią, księżyc szedł przed nią i doprowadził aż do pałacu. — U ganku stał powóz p. Boguckiej i siwak osiodłany p. Stanisława. — Rotmistrzowa w godzinę zajechała do domu a Stanisław wróciwszy do swojéj izdebki, rozmyślał dłużéj niż kiedy o wielkości Boga, o życiu rodzinném i powołaniu kobiéty. —

Jak gwiazdy do niebios tak obraz Bogusi lgnął do Stanisława serca: była nawet chwila w któréj gorąco zapragnął podzielić z nią życie i być jéj podporą. Westchnął głęboko [redacted] i sam sobie powiedział: [redacted] aniele mej duszy — przyświecaj memu życiu...

§§ VII.

Jedli chléb w znoju
A jednak — w spokoju,
Czekając chwili
W której Bóg umili
Czasy ich cierpienia
Łaską wyzwolenia. —

W lat kilka po imieninach p. Szpigalskiej w dzień Śgo Stanisława ruch był wielki w wiosce Olszynkach. Gdy zaświtało, kilkoro wiejskich dziewcząt niosło ulicą deseczkę obwiniętą białym glansowanym perkalem, ogarnirowaną majowym barwinkiem, a na niej naklejone z niezapominajek słowa: _Naszemu dobroczyńcy._ Zatrzymało się grono przy nowym domku stojącym na krawędzi wioski, i z ostrożnością pełną troskliwości przytwierdziło nade drzwiami deseczkę z napisem. Litery z niezapominajek jaśniały jak turkusy, obwódka z barwinku jak wianek z szmaragdów, a dziewczątka nie posiadające się z radości, przyglądały się pilnie serdecznej niespodziance. —

W godzinę potém wyszedł z tego domku Stanisław na ganek, nasi niebiescy najpierwiéj mu powinszował. Bogusiu, — mój aniele! zobacz coza niespodzianka mnie przywitała, powiedział z rozczuleniem wchodząc do izdebki.

Wybiegła Bogusia już p. Stanisławowa, spojrzała na deseczkę i ze łzami rzuciła się w objęcia męża. — Odgadli oboje czyje to są dary. —

W godzinę potém, starce — młodzież i dzieci przyszli winszować solenizantowi; kto łzą, kto słowem, kto uściskiem świadczył swe życzenia. —

— Moi bracia i moje dziatki, — a jakżem szczęśliwy! Kocham was, — i wy mnie kochacie, rzekł do swych gości Stanisław. —

— Bóg zapłać, odrzekli starce: świecisz naszym dziatkom jak jasna świeca. Od twego tutaj przybycia, — i praca nam lżejsza i Bóg nie tak daleko! —

— Nie mnie jednemu dziękujcie: nic więcéj wam dać nie mogłem nad serce moje i kawałek czasu, a Bóg dopomógł i dziedziczka wam swoją podała rękę. — Postrzegliście że ciemnota do grzechu i zguby prowadzi; że nie dość być sytym i leżeć na piecu, bo i chleb uciecze ze stołu i kąt ciepły obrzydnie, jeśli nic prócz misy napełnionéj strawą widzieć przed

sobą nie będziem. — Już waszym dziatkom miła przy pracy książka; już żyd nie oszuka was w rachunku — bo dziatki wasze same porachują. — I w domu Bożym nie drzémią z nudy, wiedzą coto jest pacierz i co chwała Boża. — Już i w gospodarce znacznie jakoś lepiéj, brat bratu dopomaga a młodzi gospodarze i z drukowanéj rady umieją korzystać, — i coraz szkółka staje się liczniejsza. —

—— Święta to prawda — Kochany nasz jegomość nami pokierował i dziatki nasze same do dobrego. — Tylkoż nas nie porzucaj, bo jak ślepy bez kija tak bez jegomości marnie możemy zginąć. —

—— Opatrzność nad wami, a dobrą chęć w was samych stosować będę. — Dopóki tylko można ja będę z wami, [redacted] a w razie jakiéj nagłéj potrzeby — Antoni i Bogusia z wami [redacted] ~~pozostaną~~ choćbym się oddalił. —

—— Aj ta Bogusia, to nasza matka odrzekli chorzy [redacted] kiwając głowami. —

—— I Bruździnasowi już niema w wiosce miejsca, powiedział stary Szymon. U jegomości mamy bez procentu sól, żelazo — a i grosz co potrzebie. — Teraz nam nie potrzeba jak [redacted] bywało dawniej włóczyć się do miasteczka, [redacted] moczyć nadaremno konia i grosz ostatni u żyda zostawić. —

—— [redacted] Za jaką cenę, sam w Rydze kupuje

że taką wam przedaję, a serce się zdaje że i koń wam lepszy, i czas się oszczędza i żyd nie korzysta z waszéj chudoby. — Za pamięć waszych działek zawdzięczę książeczką: zapisałem dla was Kmiotka który wychodzi w Warszawie, a i wy działki, i rodzina wasza miła i poczciwie z niego skorzystacie. — Teraz bracie, proszę was do izby, posilemy się śniadaniem, — czém Bóg dał poczęstuję miłych gości. —

Cały się domek napełnił: gwarno jak w ulu, Bogusia przyjmuje gości wędlinką, serem i masłem. Piwo domowe krąży, a i szklanica miodu ogrzewa starców i dopomaga wymowie. — Pierogi ze słoninką krążą między dziatwą, grzybek litewski przepada w ustach staruszek, a po śniadaniu goście idą do sadu gdzie dwuletni synek Bogusi pełza sobie po trawie. — Starce biorą na ręce małego Tadeuszka a dziecię śmieje się i krzyczy do swych przyjaciół. —

Aż do wieczora przebawili goście u solenizanta, młodzież potańczyła na suchym podwórku, Stanisław zagrał na flecie, a syn wójta Janek dopomógł na skrzypcach. — Odchodząc, na dobranoc zaśpiewali podrostki psalm: „Wyznawajcie Panu" potem rozeszła się gromadka z wesołem sercem do domów i — razem też rozjechali się bliżsi dziedzica, a dalsi bawili dni kilka chcąc uszanować solenizanta i przejąć się jego życiem. —

Stanisław z żoną dziękowali Bogu za dzień tak miły, a potem znowu wzięli się do pracy. —

Niemało wprawdzie mieli trudu nim zyskali ufność wiejskiej gromadki, nim jej odzwyczajali w czynności zamienili — Kupili grzędę i zbudowali domek wśród wioski, domek nawiedzany przez szlachetnych i uszlachetnionych ludzi. — Bogusia była krewną całej gromadzie, a choć dziesiąta woda na kisielu łączyła ją z niektórymi, sprzyjała zarówno wszystkim i zyskała ich ufność. Zaufanie i miłość ludu nie rychło się zdobyła; długo milczało serce trwożne i nieufne: lecz skoro już zawierzyło, skoro się zapewnił zdrowy rozum ludu, że rady Stanisława idą z głębi serca, że Bogusia ubrawszy się w suknię i kapelusz — nie przestała być krewną siermięgi i namitki, zbliżyli się całą duszą do ich obojga mieszkańce Olszynek. —

Dymne chaty zamieniać się zaczęły w czyste świetlice, zgrzebna bielizna cieńszą i lepiej uszytą, — grzędy jałowe w pożyteczne ogrody pełne warzywa, skarlałe bydło w dorodniejszy inwentarz. — Również i strona moralna ulegała zmianie: karczma stała pusta, bawiono się w domu wesoło w doroczne święta, stary ojców obyczaj pięknie się kojarzył z młodą żywotną myślą. —

[redacted]

Codnia na godzin kilka [redacted] napełniała się izdebka Stanisławów dziećmi różnego wieku; od książki do robótek przechodziły dziewczątka, a chłopcy, kto z nich miał ochotę, uczył się ogrodnictwa, kto strzelać do celu, kto pływać, a próżnować każdy się prawie wstydził. —

Tak dodziś dnia płyną godziny Stanisława Okrasy i żony jego Bogusi. — [redacted] Bodajby z nas wielu poszło za ich przykładem! — Kto kocha ten pójdzie drogą serca i światła — [redacted]

Gdzie serce tam życie,
Tam praca w rozkwicie,
Tam przyszłość i wiara,
Tam pieśń Ojców stara. —